ZESZYT 4. Lipiec. — Sierpień. ROK 1904.



Myśl polska.



Treść numeru:

WARUNKI PRENUMERATY:

W Rosyi: rocznie 3 ruble, półrocznie 1½ rubla, kwartalnie 75 kop.
W granicach monarchii: rocznie 6 kor., półrocznie 3 kor., kwartalnie 1 kor. 50 hal., numer poj. 60 hal.

W Niemczech: rocznie 6 mar., półrocznie 3 mar., kwartalnie 1½ marki.
We Francyi i Szwajcaryi: rocznie 8 franków, półrocznie 4 franki, kwartalnie 2 franki.

ADRES REDAKCYI:
Kraków, Rynek gł. 8 i św. Jana 3.

Z dniem 1-go Sierpnia Redakcya „Myśli Polskiej“ otworzyła swe filie **we Lwowie, w Warszawie, Wilnie i Kijowie.**

Ogłoszenia i prenumeraty proszę zgłaszać pod adresem Redakcyi.

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona **60** kor. — ½ strony **40** kor. — ¼ strony **25** kor.
Od jednego wiersza szpaltowego w tekscie **40** hal.

Od Redakcyi.

Uprasza się P. T. Wydawców i Autorów o przysyłanie swoich utworów. Każda książka będzie poddana ocenie.

Nakładem „Myśli Polskiej“ znajdują się pod prasą następujące utwory: „Samo słońce“, 2 akty (Jan Bełcikowski) — i „Matka Boska w cywilizacyi polskiej“ (Kazimierz Lubecki).

Okładka według rysunku K. Sichulskiego.

MYŚL POLSKA

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

WIELKIE ZWĄTPIENIE.

b) „Potrzeba cały świat zwyciężyć, potrzeba uznać go za wielki pierwiastek religijnego życia, potrzeba zwrócić ziemi jej świętość utraconą". Takie wołania podnosi organ neomistyków rosyjskich *Nowyj Put'*.

Wobec tak olbrzymiego celu powstaje całkiem naturalnie pytanie: w jaki sposób uświęcić ziemię i zwyciężyć świat?

Rosyjska religijno-filozoficzna myśl daje na to kilka odpowiedzi.

Archimandryta Eudokim widzi źródło postępu i wyzwolenia w wskrzeszeniu „parafii" i w „przykładnych pasterzach". „Był czas" mówi archimandryta „gdy pasterze brali czynny udział we wszystkich kierunkach życia: społecznym, politycznym, prywatnym, rodzinnym. Dziś to przeszłość, to tylko przepiękne wspomnienie".

Nie bacząc na to archimandryta stale wierzy w siłę pasterzy: wierzy, chociaż sam mówi, że współczesny „pasterz" wydaje się poprostu „nienormalnem zjawiskiem, gniazdem wszelkiej ciemnoty, hamulcem oświaty i kultury".

Wobec takiego stanu rzeczy nic dziwnego, że są inni n. p. p. Tiernawcew, głoszący o konieczności wprowadzenia wszystkich sił ludzkości do dzieła bożego.

„Kościół rosyjski" mówi Tiernawcew „stoi przed wielkiem zadaniem wprowadzenia wszystkich sił ludzkości do szukania prawdy o ziemi i do służby bożej. Wobec ogromu zadania „pasterze"

i „parafia“ nie wystarczą — trzeba wszystkich powołać do apelu, a w pierwszym rzędzie inteligencyę“.

„Inteligencya“ pisze Tiernawcew „to nie tłum niewiernych i przeznaczonych na zagładę — to siła wyższa od historyi i od narodu, to masa, tająca w sobie osobliwe dary pietyzmu“.

Stanąwszy na tym punkcie widzenia rosyjska religijno-filozoficzna myśl rozdwoiła się. Powstało mianowicie pytanie, w jakim charakterze mają masy wziąć udział w dziele bożem — czy mają występować każde jednostki z osobna z wiarą w swoją indywidualność, czy też wszystkie razem z wiarą w swoją powszechność. — Jedni (n. p. protojerej Ławrowski) wierzą, że „niech każdy w miarę swojego rozwoju, w sferę swojej specyalności wprowadzi wszechuświęcającego Ducha bożego, a rozpali się ten płomień, o którym marzył Bóg. Ten płomień oczyści filozofię, naukę i państwowe porządki i życie domowe, rodzinne“.

Z poglądami p. Ławrowskiego nie zgadza się p. Bartienjew. W jego oczach poglądy powyższe nie zgadzają się z ideą zasadniczą Kościoła. Istota Kościoła to wspólność życia chrześcijańskiego. Siła jednostki wobec ogromu zadania życiowego jest bezsilną. W kwestyach powszechnych trzeba działać wspólnemi siłami, a tych najdoskonalszym wyrazem jest sobór powszechny.

* * *

Myśl p. Bartienjewa, całkiem słuszna, doprowadza jednak do wielkiego zwątpienia. Bo, gdy uznamy sobór powszechny za organ najwyższy, nieomylny, zdolny skupić wszystkie siły społeczne ku służbie bożej, wtedy przyjdziemy do wniosku, że takiego organu nie ma; sobór bowiem całego wschodniego kościoła będzie zaledwie miejscowym — nie powszechnym. A idąc dalej, dojżymy z bojaźnią, że właściwie i Kościoła nie ma — czemże bowiem Kościół bez pierwiastku nieomylnego i bezgrzesznego, bez soboru powszechnego?

I tu rosyjska religijno-filozoficzna myśl wpada w nowe rozdwojenie.

Jedni (grupujący się koło Przeglądu Misyonarskiego) wobec niezliczoności sekt, wobec niemożliwości soboru powszechnego,

czują gorąco potrzebę organu bezgrzesznej nauki, wyższego nad sobór — drudzy (metropolita moskiewski Filaret i inni) widzą możliwość soboru powszechnego, ale tylko przy połączeniu Kościoła wschodniego z zachodnim.

W taki sposób jedni i drudzy godzą się właściwie na przerażającą myśl, że Kościoła nie ma, że bramy piekielne zwyciężyły go. Bardziej subtelni jak n. p. teolog N. B-w. w artykule „Prawosławie" dodają pytanie: czy bramy piekielne zwyciężyły Kościół wogóle, czy też tylko Kościół wschodni w szczególności.

Wobec podobnego zabójczego zwątpienia mimowoli myśli teologów zwracają się tam ku innej kościelnej organizacyi, która od wieków już przewidziała zasadniczą potrzebę pierwiastku nieomylnego i bezgrzesznego i dzisiejsze zwątpienia.

Nic tedy dziwnego, że p. Wsielennik kończąc swój artykuł „o kwestyi soboru pewszechnego" pisze:

„Poważne podstawy ma partya twierdząca, że sobór powszechny jest możliwym dla Kościoła wschodniego, ale tylko pod warunkiem poprzedniego połączenia się z Kościołem zachodnim".

Do tej partyi jak wiemy należał Włodzimierz Sołowjew.

F. Bryk.

„Fliegende Blätter" i „Simplicissimus".

(Fragment z dziejów współczesnej sztuki graficznej niemieckiej).

Na tytułowej stronicy trzechtysięcznego numeru jubileuszowego *Fliegende Blätter* umieścił znany rysownik Hermann Vogel cudną ilustracyę, przedstawiając w niej misyę tego pisma: jest ono *„teatrum mundi"*, międzynarodowem zwierciadłem prawdziwego humoru i szczerego dowcipu. Rycinie tej wtórują jeszcze słowa redakcyi:

„Jakie tylko wesołe komedye świat stwarza, usiłujemy zawsze skreślić, aby w ten sposób groźny majestat bytu wesołymi tonami przytłumić". Nakreślonemu programowi *Fliegende Blätter* od początku założenia zostały wierne. Wszelkie polityczne wycieczki lub paszkwile wytoczone przeciw osobom lub nareszcie pikanterye — choćby się

wzniosły na estetyczną wyżynę powieści Nowogreka P. Luysa — są mu obce.

Blagier myśliwy, nadęty oficer, student z posiekaną twarzą, dziwaczny uczony, osławiona teściowa, stara, brzydka kokietka, oto typy z życia codziennego, które pismo z właściwym mu humorem — n i e r a z s t e r e o t y p o w o — wyśmiewa i ośmiesza.

Nie literacka strona tego tygodnika zasługuje na ów epitet „teatr świata"! Bo choć takim mężom jak zmarłemu v. M i r i s (F. Bonn), lub A l b. R o d e r i c h o w i, K u h n e r t o w i lub rzadziej piszącym: D a h n o w i, H e r m a n n o w i L i n g g o w i, talentu poetyckiego odmówić niepodobna, to, bądź co bądź, już z powodu samego języka — Niemiec ich jedynie będzie rozumiał i czytał.

O grafików mi chodzi!

O nich też będę mówił, traktując prawie zupełnie po macoszemu kulturalną, moralną i literacką stronę pisma. Zajmę stanowisko krytyka, dla którego „F l i e g e n d e B l ä t t e r" i „S i m p l i c i s s i m u s" nie są niczem innem jak n i e u s t a j ą c ą w y s t a w ą p e w n e j f r a k c y i n i e m i e c k i e j s z t u k i g r a f i c z n e j.

Czyż ich rysunki nie tworzą jądra tego pisma? Czyż ich występy nie są t e a t r e m ś w i a t a, ba nawet d l a ś w i a t a? Czyż nie nadają mu właśnie przez to, owej międzynarodowej cechy? Ktoby chciał lekceważąco pominąć artystyczną wartość karykatur, ten zapomniał, że w królestwie piękna niema wzniosłego a zarazem niskiego, wielkiego a małego, że tąsamą miarą zachwycenia podziwiać można małe exlibris Chodowieckiego, jak monumentalne płótno zdegenerowanego Wiertza, śmiałą karykaturę T. T. Heinego, jak skondenzowany do pojedynczości drzeworyt Vallotona; temu nadmienię, że koryfeusze malarstwa niemieckiego jak: Schwind, Spitzweg, Stuck przez czas jakiś „kiedy ich humorystyczny pegaz pędził cwałem" (słowa Schwinda) rysunkami *Fliegende Blätter* zasilali.

Ile malarstwo nowoczesne zawdzięcza karykaturze dość przytoczyć kilka zdań Muthera, tego wirtuoza w wyciąganiu wniosków: „Początki tej nowej sztuki są skromne drzeworyty lub litografie rozprószone w pismach humorystycznych rozmaitych narodowości. Ci wielcy rysownicy i karykaturzyści z początkiem wieku popchnęli nowoczesne malarstwo na nowe tory. Ich zawód skierował ich wprost do obserwacyi życia i dał im możność znalezienia wyrazu dla otrzymanych wrażeń w owym właśnie czasie, kiedy wogóle akademicka fizyognomia panowała: zmusił ich do przedstawienia przedmiotów, do którychby się nigdy nie zwrócili; zaprowadził ich w sfery, któreby były dla nich innym razem odpychające, celem odkrycia tam piękności.

Starając się, modernistyczne życie poważnie i rzeczowo w zakres sztuki wciągnąć, z o s t a w i l i h i s t o r y k o w i k u l t u r y to, — czem malarze wzgardzili: p r a w i e z u p e ł n ą k s i ą ż k ę z o b r a z k a m i ż y c i a i z w y c z a j ó w o w e g o c z a s u. A jako pierwsi, przyzwyczajając oko do oglądania nowoczesnych ludzi w nowoczesnym kostyumie rysowanych, pomogli przez to malarzom, na bok odłożyć przesądy estetyczne, w których dotychczas tonęli". (Historya mal. XIX. wieku, I tom).

Wogóle skłonność do karykatur leży w szpiku niemieckiego artysty. Pomijam dziwaczne rysunki XV. i XVI. wieku, które powstały pod egidą drzeworytu. Ale ktoby przypuszczał, że tak poważni mistrzowie jak Adenbach, Menzel lub Böcklin mieli okres, w którym „karykaturowali".

Właśnie w tę cechę niemieckich malarzy uderzyli redaktorowie Kaspar Braun i Schneider, zakładając przed 62 laty *Fliegende Blätter*.

Czy przeczuli oni, jak dalece się krajowi swemu zasłużyli? Podnieśli oni grafikę rodzimą do owej wyżyny, na jakiej się znajdowała za granicą (Rowlandson, Daumier, Cruikskante, Leech); odkryli takie talenty jakimi są n. p. Oberländer, Vogel, T. T. Heine; zatrudnili całą plejadę malarzy, stając się przez to mecenasami sztuki, w prawdziwem tego słowa znaczeniu.

* * *

Zacznę od H e r r m a n n a V o g l a.

Nie tylko z powodu wielkiej czci, jaką dla mistrza żywię, ale i dlatego, że do trupy komedyantów „światowych", zdaje mi się, trudno go zaliczyć. Dostarcza nawet wprost przeciwny materyał, zbijający tezę światowości *Fliegende Blätter*.

Vogel jest na wskróś Niemcem. „*Die Lust zum Fabulieren*", ta chęć opowiadania baśni łączy go z Dürerem jak i z Böcklinem, z Thomą jak i z Fidusem, z Vogelerem jak i z Weltim, ze Schwindem jak i z L. Richterem, wyciskając na każdem jego dziele cechujące znamię germańskiego ducha.

A więc i Vogel poeta, fantasta?

Tak jest! Vogel to poeta szczery, jak owe baśnie braci Grimmów, które wspaniale zilustrował, naiwny jak owe sonaty Mozarta, rozmarzony w przyrodzie jak ów Anzelm ze „złotego wazonu" E. T. A. Hoffmanna, a przytem o humorze prostym, któregoby się nie powstydził tak przez dziatwę niemiecką ukochany Ludwik Richter. Ostatniego też często przypomina; od niego też oddziedziczył piórko: bo Vogel to jego następca. Ale podczas gdy nam Richter swe pieśni w naiwnej prostocie rysuje, to czarodziej Vogel z właściwą mu gracyą osiąga ten sam nastrój stylem bardziej ornamentacyjnym. — Vogel jest rysownikiem z urodzenia. Studyum akademickiego nie posiada, bo go pół roku „na gipsie" tak zniechęciło, że się wyrzekł na zawsze akademii.

Co mu po martwym, zimnym gipsie? Poszedł do samego źródła, tam studyował — u pani Przyrody. Ta go nie znudziła. W niej znalazł to, co podziwiał u zmarłego Richtera, dźwięczną nutę naiwnej poezyi dziecięcej.

Przypomina mi się jeden z dawnych rysunków Vogla, w którym może bezwiednie wydał sąd o swej sztuce: Romantyka niemieckiego M. Schwinda zapytują w niebie, którą sztukę uznaje, starą czy modernistyczną. „Znam tylko dobrą i złą“ odpowiada lekkomyślnie Schwind. Gdzieś w dali widać przybywającego do Parnasu Boecklina na swoim jednorożcu.

To samo dotyczy i Vogla. Można hołdować najskromniejszym prądom sztuki, a mimo to Vogel będzie się podobał, bo on ni modernista, ni stary, on jest dobry, dobry.

Niema chyba marzyciela, któryby się nim nie zachwycał, bo jego twory fantastyczne, czy to karły, czy świtazianki, lub nimfy, są tak oryginalnie voglowskie (chociaż sam się tego wypiera w ostatnim wierszu, wygłoszonym na uroczystości ku jego pamięci, temi słowy, że typy jego *„sind geborgt nur von der Firma Ludwig Richter und von Schwind“)*, rysowane piórkiem tak głęboko odczute, zdradzając przytem olbrzymi skarb poezyi i polotu fantazyi, że nas porywają, że nas na chwile zamieniają w owe dzieci, zasłuchane z ciekawością w przygodne opowiastki starej babki. Tak liryczny poeta na komicznej scenie *Fliegende Blätter* nie wiele dostanie oklasków. Ale mu też o to nie chodzi, bo on ponad pochlebstwa. We „*Fliegende Blätter* stara się, jak pisał do mnie w liście, dać znaki życia“. Tam umieszcza swe wiersze rysowane — nieraz i rymowane — stamtąd odzywa się jako Germanin, negując kosmopolityzm pisma.

Od tego marzyciela przejdę do „prawdziwych“ reżyserów tej sceny: do Oberländera, Harburgera i Hengelera. Ci trzej wraz z Voglem tworzą nierozerwalny czworolistek; pojęcie *Flig. Blät.* mieści w sobie te cztery nazwiska. Są oni *„conditio sine qua non“*.

Jako ośmnastoletni młodzieniec debiutował A d o l f O b e r l ä n d e r w r. 1863 we *Flieg. Blät.* a nie długo potrwało, że jego twórczy umysł wyniósł się na wyżynę pierwszorzędnego karykaturzysty.

Jego „parodye całusa“, w których z równą biegłością naśladuje „ortograficznego“ w liniach gubiącego się Geneliego, jak zmysłowego Makarta, małą eksclencyę Menzla jak sentymentalnego Gabriela Maxa lub „szkielety“ Retehla, a które zdradzają bez wątpienia więcej ktrytycyzmu aniżeli wykwintnie wydawane monografie Knackfussa i jego „szkice małego Maryca“ rozniosły w krótce jego imię po całym świecie artystycznym i zapewniły mu w krytyce niemieckiej owe chlubne określenie, że „Oberländer jest jeden, jedyny“.

Zawdzięczył to po części owej pojedyńczości i prostoci w oddawaniu charakterów, zbliżająca go trochę do humorysty W. Buscha.

Do tego dołącza się nadzwyczajny dar obserwacyjny, za czem idzie ironia. Nic dziwnego więc, że go Böcklin tak czcił, ów Böcklin, który nikogo nie szczędził, czy to był Leibl, lub Lenbach, lub Klinger.

Niktby nie uwierzył, że ów pesymista-karykaturzysta wyszedł ze szkoły Pilotyego, wychowującej patosowych historyków. A mimo to do dnia dzisiejszego Oberländer żałuje, że nie miał sposobności namalowania obrazów historycznych.

„Oberländer a poważny obraz“, czy można sobie coś takiego wyobrazić?

I choćbym każdego zapewnił, że w nowej pinakotece wisi obraz treści religijnej jego pendzla, to by nikt nie dał wiary. Prędzej okrzyczanoby mię blagierem, aniżeliby przypuszczono, że i poza małymi Morycami lub lwami z utrefioną bródkę i z podwiązanemi serwietkami Oberländer się wysłowić potrafi tym razem nie dowcipem, lecz głębokim nastrojem religijnym.

Profesor Oberländer nie ogranicza się li tylko na skarykaturowaniu ludzi. Studyował widać fizyognomię zwierzęcą. Jeden chyba Hengeler dorówna mu na tem polu. Ich zwierzęta, „które człowiek spaczył na swój obraz i swe podobieństwo“ (Ibsen), są tak antropomorfne jak owe epizody z Goethego „*Reinecke Fuchs*“; sceny z królestwa zwierząt tak dostrojone do naszych stosunków, że nie podobna się nie śmiać z owej żółci satyryków.

H e n g e l e r nie umie być poważnym.

Zawsze się śmieje: a śmiechem tym się zdradza, podobnie jak ów złodziej (z jego rysunków) ukryty pod łóżkiem, gdy usłyszał dobry dowcip. I jego zdrajcą to dowcip.

Najpoważniejszy na widok owych scen z Kameruna, owych nagich murzynów w kołnierzykach i mankietach lub „szopek dziecęcych“ musi parsknąć śmiechem szczerym zdrowym.

Ba nawet jego płótna są śmieszne. Przypomnę tylko owe dwa obrazy z nowej pinakoteki: owego świętego pustelnika, za którym postępuje miniaturowa menażerya: mysz koło lwa, zając koło lisa (obraz, w których znać reminiscencyę z jednego starego gobeliau flamandzkiego „Stworzenie zwierząt“ Barend van Orley'a z galeryi „M o d e r n a z A n t i c a“) lub ów pocieszny pejzaż, nasiąkły romantyczną ironią.

A ktoby nie znał H a r b u r g e r a? Tego znakomitego portecisty, lubującego się w szorstkich, brutalnych rysunkach węglowych? Każde jego studyum, czy to tłusty bankier z „nożycami do obcinania kuponów“, czy to łotr urwisz, oczekujący z humorem „szubienicznym“ wyroku, czy zresztą pijaczyna student, o „jaźni w czerwonej czapce“ (wyrażając

się słowami Multatuliego „*mit dem rothemützten Ich*“), znakomicie zcharakteryzowane, nie przechodząc bynajmniej w ów szablon typów szmiry.

Trudno rzeczywiście rozpoznać w jego węglowych rysunkach, gdzie ironia, a gdzie znów szczerość rzeczywista.

Takim samym przedstawia się i w obrazach.

Karczemne sceny z życia monachijskich gospod, przywodzące na myśl Teniersa lub Brouwera, utrzymywane po części w srebrnawym tonie atmosfery dziennej, starannie śpiczastym pendzlem wykończone, są jego ulubionym tematem. Szorstkością swą przypomina bardzo dziwacznego rysownika, zmarłego niedawno, S t e n b a. Wszelkie bijatyki — czy to uliczne czy w gospodzie, wszelkie monstrualnie brzydkie twarze, czy to mamutowych nocnych stróży, czy posiekanych w pojedynkach burszów, wchodzą w zakres jego twórczości.

Zapewne te nieokrzesane, barbarzyńskie grubiańskie rysunki Stenba wywarły swój wpływ na utalentowanego artystę ze „Simplicissimus'a“ — na Brunoma Paula.

Harburger i Stub charakteryzują tylko.

Niema u nich tej anegdotyczności, jaka dominuje w każdym niemal rysunku Hengelera lub Oberländera.

Eksperyment Grüntznera lub Defreggera, który właśnie z powodu nowelistycznej treści napiętnował rodzajowe malarstwo niemieckie banalnością, fałszywie nazwanej „*Geistreich*“, w owych historyjkach właśnie nie razi, owszem ma należyte miejsce.

Owe wesołe a n e g d o t k i w k i l k u o b r a z a c h, będące specyficzną własnością *Fliegende Blätter*, owe rysowane pantominy polegają na jasnem powiadaniu g r a f i c z n e m przygód, naciąganych nieraz do niemożliwości; nikt im atoli rzeczywistości odmówić nie potrafi, bo tych *münchhausenyad* nie słyszymy — my je widzimy.

A kto to E u g e n K i r c h n e r?

To jeden z najmłodszych współpracowników, godzący swoim odrębnym stylem, z lekka japończykującym na bezmyślną, filisterską burżoazyę niemiecką. A jego specyalnością, jego patentowanym typem, to krótkowłose, w sztalugi uzbrojone twory naszego wieku; on malarki pierwszy ośmieszył.

Początkowo miał rywala w T. T. Heinem. Ale odkąd ten niemiecki „bicz boży“ z redakcyi *Fliegende Blätter* wystąpił i odkąd przejął się tak wcześnie zmarłym Aubrey'em Beardsley'em, Kirchner został sam ze swoim sarkazmem, jakiegoby mu i Marek Twain mógł zazdrościć.

A R ö s s e l e r? Któż to ci sfrancuziali ilustratorowie-salonowcy, jak R e n é R e i n i c k e, zmarły czeski M a r o l d, lub W a h l e, lub C o h w a d a m? Nie podobna każdego wymienić, nad każdym się rozpisać. Każdy z nich ma w sobie coś indywidualnego: czy to G r ä t z ze

swojemi staremi paniami, czy R ö s s e l e r ze swoimi dowcipnymi jamnikami, czy E. R e i n i c k e, ze swojemi scenami *„aus der guten alten Zeit“*, czy Z o p f z pięknymi podlotkami, lub nareszcie H. S c h l i t t g e n ze swoimi bezdennie głupimi oficerami.

Chcąc dać obraz *Flieg. Blätter*, musiałbym spisać *en miniature* historyę współczesnego malarstwa niemieckiego. Bo nie jest bynajmniej przesadą, że *Fliegende* przedstawiają dla badacza dziejów sztuki jedno z najważniejszych źródeł, jeden z najcenniejszych archiwów, bo dostarczają dokument całokształtu działalności artystycznej ostatnich dziesiątek lat.

„Na *Fliegende Blätter* będą późniejsze generacye w pierwszym rzędzie zmuszone powołać się, aby mieć obraz niemieckiego życia XIX. wieku. Tu znajduje się to, co malarze owych lat skreślić zapomnieli, historya naszych zwyczajów, jakiejby bardziej dokładnie i wyczerpująco obmyślić nie podobna było“. (Muther: Historya malarstwa XIX. wieku).

Porównując stare roczniki z nowszymi, możemy śledzić rozwój tego pisma. Tam znajdziemy odbicie wszystkich tych prądów, jakie tylko wiały w niemieckiej sztuce drugiej połowy XIX. wieku.

* *
*

Zastępców najnowszego modernistycznego stylu monachijskiego, którego twórcami są Eichler, Erler, J. Diez, Eckmann, T. T. Heine, Georgi niestety we *Fliegende Blätter* daremnie szukać będziemy. Przyczyną może po części ta okoliczność, że kolorowe ilustracye nie znajdują tam pomieszczenia. I gdyby się nawet wstrętny ultramontanizm bawarski jak i przekraczający miarę militaryzm pruski tak bardzo nie wzmógł, żeby się aż prosił o krwawą satyrę, to już z e w z g l ę d ó w c z y s t o i l u s t r a c y j n y c h z a ł o ż e n i e S i m p l i c i s s i m u s a i J u g e n d a b y ł o r z e c z ą k o n i e c z n ą. Zanadto już Toulouse-Lautree, lub Steinlen, lub nareszcie Japończycy kolorowymi litografiami zapalili gorączkową młodzież artystyczną niemiecką. Taki Rudolf Wilke lub T. T. Heine muszą mieć sposobność zamaszystego wypowiedzenia się na wielkoformatowej stronicy — kolorami.

Nic dziwnego więc, że się Fliegendom urodziło dwoje bliźniaczków: postępowa, jugendstylowa, grzeczna emancypantka i ten niegrzeczny, zgryźliwy buldok monachijski, którego „do chrztu trzymała policya“ (P. Schlemihl). Wypływało to z ducha czasu — bo do steru rządów w sztuce dostała się litografia, podbiwszy wpierw kolejno: miedzioryt, drzeworyt i akwafortę.

Nic też w tem dziwnego, że właśnie Monachium jest kolebką pism humorystycznych. Kto tam przepędził karnawał, ten się wielokrotnie mógł przekonać o podatności gruntu pod uprawę humoru. Już same

reduty i bale artystyczne rok rocznie wydają kilku zdolnych karykaturzystów. Bruno Paul jest jednym z takich.

Angielski Nicholson bezsprzecznie wywarł nań olbrzymi wpływ. Ale w jego niezgrabnych, rubasznych litografiach tkwi coś oryginalnego, co go od owego gentlemana-sportsmana wyróżnia. Przesadne skrócenia, jakby je oddała bania szklanna ogrodowa lub dobra soczewka aparatu fotograficznego są indywidualną cechą jego kredki litograficznej. A przytem on taki szorski jak ów głęboki psycholog *Jugend* Rudolf Wilke. Szorstkość brutalna jest w ogóle znamieniem *Simplicissimusa*. Nawet baśniarz poeta Schulz w swoich rysowanych wierszach nie może się od owej szorstkości uchronić, jak i Thöny w swoich fragmentach z życia oficerów pruskich.

W przeciwieństwie do Vogla Schulz jest człowiekiem nowoczesnym, *„eine moderne Seele"*, synem pessymizmu. tego raka starych idealistów i blagierów, a nie minensängeren z okresu niebieskiego kwiatu.

Jego ballady mają w sobie cechę realistyczną; to nie czarowne sceny Waltera Crane o walce między różami i liljami — to poezye dla dorosłych, poezye poważnego człowieka, którego walka o byt zmusiła karykatury rysować. Bo Schulz jest na rozstaju. Z jednej strony uśmiecha się doń szydercza maska karykatury, a z drugiej nadobna dziewica tradycyi germańskiego ducha — baśń!

Pod naciskiem i wpływem owej maski powstały rysunki, w których staje w obronie Burów, owych nieszczęśliwych bohaterów wolności. Wyrosły one na gruncie humanitarności, w nich dał wyraz oburzenia tych wszystkich. którzy współczuli z losami nieszczęśliwych.

Sobą jest wtedy. kiedy rysuje owe balady o rycerzach, szukających czarownego kwiatu, zaklętych królewnach. o smokach strasznych, o królach. którzy się żenią ze służącemi, o skrzypcach, które opowiadają sielankę. Wtedy zapomina o życiu codziennym. wtedy odsłania nam w jaskrawem świetle talent poetycki swej malarskiej duszy.

Despotyczny król zakazał pod karą śmierci śmiać się. Odcięte głowy nieszczęśliwych ofiar kazał wrzucić do sadzawki. Czas minął. Smutek ogarnął króla. Bieży tedy do sadzawki. łowi od rana do nocy głowy skazańców i choćby w rysach ich twarzy szuka — śmiechu. Wiersz ten jego wraz z ryciną do głębi nami wstrząsa. Czy nie wygląda może z niego satyra lub aluzja do naszych czasów?

Schultz obrazów (w znaczeniu powszechnem) nie tworzy. Jest on indywidualnością, jakby dla graficznej sztuki stworzonym. „Tworzą oni z własnego popędu na polu owej gałęzi sztuki, bo inny środek wyrażania się pozbawiłby ich intenzywności i wolności". (Pornklinger: *Graphische Künste* str. 12) „Simplicissimus" jest co do strony artystycznej modernistyczną kopią *Fliegende Blätter*. Nie brak mu ani modernisty-

cznego Vogla, ani Harburgera ani Stenba, Schlittgena — posiada Schultza, B. Baula, R. Wilkego, Thönyego i Reźnicka.

A Oberbländer?

On jest jeden jedyny.

Za to świeci mu inna gwiazda genialnego satyryka, niezrównanego H e i n e g o, który ze szczodrością bez granic wymierza zbutwiałym Niemcom policzek po policzku.

Z każdego momentu politycznego ostatnich lat Heine wydrwił. Wojnę z Chińczykami, przeprosiny „sühneprinza“, odwiedziny Morgana u Wilhelma, przyjęcie jenerałów Burów w Berlinie, rusyfikacyę Finlandyi dosięgnął ostry miecz satyry.

Heine nikogo nie szczędzi — nawet siebie samego nie. Pod tym względem zbliża się do krewnego mu duchem a nie zawodem dowcipnisia Ludwika Thomy (P. Schlehmila) znanego niemieckiego humorysty, tego *spiritus movens* „Simplicissimusa“.

Heinego odrębny język linijny jest znakomitym interpretem tego, czego pragnie — g r y ź ć! Nadzwyczajny dar obserwacyjny z towarzyszącym mu krytycyzmem w każdym niemal jego rysunku się objawia. Wypływa to stąd, że ów Heine, który dużo ścierpiał jest myślicielem, filozofem; jego utrapiona dusza popchnęła go na tor ostu i piołunu, użyczyła mu mocy olbrzymiej. Hogerth Goya i Rops są jego towarzyszami broni. A więc temperament! Ten go nietylko z nimi wiąże, ba, zaprowadził już nieraz przed forum trybunału.

Ale poza satyrą idącą w parze ze sarkazmem, przebija się w litografiach kolorowych Heinego olbrzymi talent malarski.

„Nic nie okazuje tak jasno zdolności malarza jak środki pomocnicze, którymi zarządza, jak jej traktowanie użycia linii; r y s u n e k l i n i j n y z a ś j e s t p r o b i e r z e m d l a s z t u k i p e w n e g o o k r e s u“.

Te słowa Waltera Crase'go dotyczą i Heinego, który światło i cień zastąpił linią i kolorem. Temi zredukowanemi litografiami do najprostszych form przypomina Vallotona drzeworyty. Na „anarchiście“ Vallotona lub „pogrzebie“ (gdyby go przetłumaczono na język litograficzny) mógłby się bezpiecznie Heine podpisać.

Heine nigdy nie wpadł w manierę; nigdy się też nie powtarza. Jakie bogactwo form w owych winietach znanych z roczników „Pana“ lub w owych okładkach na książki lub plakatach? Każda winieta z osobna oryginalna — w swoim rodzaju cacko. Bo Heine jest ze wszystkich swych kolegów najbardziej wielostronnym.

T h ö n y, psycholog oficera pruskiego — jeżeli o psyche wogóle jeszcze mowa być może — zna tylko ową warstwę: od lejtnanta, rezerweonkla — do złotego kołnierza. Swoją „krwawą“ satyrą, swoim pendantem do Bêlsego „z małego garnizonu“, przewyższa o nieba Schlitgena

„Fl. Bl.“, który od początku swej karyery artystycznej popadł w szablon powtarzania typów.

Dla Reżnicka istnieje tylko kobieta: salonowa lub też „innej“ kategoryi. Karykatura u niego wcale zanika, a natomiast mamy obraz ilustrujący dowcip. I chociaż studyował kobietę i wgłębił się w jej istotę, choć zna wszystkie zachcianki, kaprysy, widzimi się i chęci współczesnej zdegerowanej kobiety — obrazki jego zaliczyć muszę tylko do doskonałych ilustracyj.

J. B. Engl obraca się w takiej sferze, gdzie kamienne kufle piwa stoły okrążają, w swej warstwie Monachijczyków zazwyczaj pijanych ale zato i „gemütlich“. że się nie pozbył swego iście fliegendowskiego stylu nie dziwna, bo i on swego czasu pracował dla *„Fl. Bl.“*.

Za krótką jest działalność Olafa Gulbranssona, aby go ocenić. Tyle pewna, że „Simplicissimus“ dlań obcy żywioł, w którem mu się trudno obracać, jak mi sam opowiadał. Gulbransson jest przybyszem.

Björnson zwrócił teściowi swemu Albertowi Langenowi, redaktorowi „Simplicissimusa“ uwagę na nadzwyczajny talent Gulbranssona, gdy zobaczył genialne jego karykatury do humoreski, wyśmiewającej stosunki małomiasteczkowe p. t.: „Trangrikposten“. Natychmiast więc został zaangażowany. Opuścił Norwegię, swój rodzinny kraj, a z nim i swego chłopa, swych mieszczanów, których tak dobrze zaobserwował. Albert Engström ze szwedzkiego „Strix“ i Feliks Valloton może mu nasunęły myśl do narysowania galeryi sławnych ludów. (Niektóre z nich z nich n. p. Grieg lub Brandes są bardzo udałe).

* * *

Pan Alanger może być dumnym ze swego pisma, z którym się już w Niemczech opinia publiczna liczyć musi, bo inaczej — napadnie żądłem osy, smoczym językiem na przeciwnika — choćby nim był Wilhelm II. Ale nietylko z powodu bezwzględnego radykalizmu zdobył sobie „Simplicissimus“ stanowisko: nawiązał nić przędzoną przez *„Fliegende Blätter“*, które dzięki świetności ilustracyi nabyły sobie znaczenie kulturalno-historyczne, stając się podwaliną rozkwitu przyszłej karykatury, przezco przypadła mu w udziale zaszczytna rola przodowania w dalszym rozwoju karykatury niemieckiej.

SAMO SŁOŃCE

DRAMAT — 2 AKTY.

Akt II.

Noc. — Scena ta sama. — Bogini Matka. — Elis. — Chorus. — Potem Apollo. — W namiocie śpi Aleksander Elis to podchodzi do wrót namiotu to znów odbiega przerażona.

ELIS:

Wieczyści bogowie! O, wy tam na kresach
O losach radzący ludzkości,
Złotymi skrzydłami szumiący w Hadesach
O, jaśni bogowie, litości. —
(Łamie dłonie).

CHORUS:

Już boskiej Dyany łuk nad skałą
Wystrzelił złotolśniącą strzałą
I sinych mórz wysrebrzył toń — — —
Już zefir cichy rozskrzydlony
Na gaje zwiesił swe opony
I z wonnych mirtów trysła woń.

ELIS:

O, jaśni bogowie, o, po co wy gwiazdą —
Z ócz Aleksandra złocistą
W me śnieżne łono cisnęli!?
O, po co zbudzili snów gniazdo
I biodra me białe kwiecistą,
Skrzydlatą włosienią opięli.
(Łamie dłonie).

CHORUS:

Po jednolicym Apollinie
Wielkolicy Dyonizos kroczy
W szumiącem morzu dzień zginie.
A ciemna noc ziemię otoczy
I w blaskach błądzących pochodni
Powstaną rozkosznych snów godni,
I różnobarwne napłyną obrazy,
I poprowadzą świat do Extazy.

(Bogini Matka modli się cicho).

BOGINI MATKA:

Elis, Elis patrz! Dyany łuk nad skałą
Wystrzelił złotolśniącą strzałą.

ELIS:

Szału, szału Dyonizosie!
Dytyrambu splecionego z wyciem
Wyjdź z czerwonowłosych nimf okryciem
Wyjdź w szalejącym patosie.
O z miedzi piorunowem biciem
Wyjdź bogu, wyjdź naczelniku
Jasnych pochodni i nocnego krzyku...

BOGINI MATKA:

O Elis, Elis! już Fauny za Dryadną
Rozplomienione wnet do gaju w padną
I zaszeleści smętny gaj...
Już do złotego masz wstąpić namiotu
I masz rozłożyć ramiona do lotu,
I boski rozplomienić kraj...

ELIS:

O, matko tę pieśń ja znam
To król, to król każe sam...

(Podchodzi do namiotu).

Śpij boski śpij błogosławiony...
O pocóżeś pierzastą strzałą
Wpił się w mą czystość, w me ciało?
O jasny, śliczny, wymarzony,
Obudzisz we mnie święty zdrój
I nowych stworzeń wydam rój
I nowe gwiazdy, nowe słońca
I będę jako Bóg bez końca
I będę jako jasny dzień
Jutrzenką cichą będę lśnić...

BOGINI MATKA:

Elis, księżyc rzucił cień. .

ELIS:

O po cóż, po cóż żyć!!!

BOGINI MATKA:

O, Elis, Elis — matka ciebie wzywa
Spełń rozkaz — — — — — — —

ELIS:

O ja nieszczęśliwa...

BOGINI MATKA:

Masz objąć go i pieścić masz
Na twoją i na boską cześć...
O, ty mu usta wonne dasz
I Elizejską podasz wieść...

(Elis przed namiotem).

ELIS:

O, ty, coś jeszcze przed bogami
Szła przed gwiazdami, przed tęczami,
Ty jasna muzyko! ty, któraś wywiodła
Kwiat z płonącego Chaosu,
Ty, której głosu
Szuka łakomie i sosna i jodła,
O, ty muzyko, pomocy! pomocy!...
Dusza zapada w kraj nocy...

BOGINI MATKA:

Zielone wieńce masz mu spleść
I na królewskie łoże doń,
Na twoją i na boską cześć.
Masz złożyć dziś dziewiczą skroń.

ELIS *(u wejścia do namiotu)*:

O, pocałować, pocałować,
A potem umrzeć — a potem się schować
W skrzydlatych cieniów krainę,
O, pocałuję i — zginę...
O, żegnaj ziemio! żegnaj w fiołkowe
Płaszcze odziane słońce,
Żegnaj harmonio, w uśmiechu poczęta,
A w łzy iskrzące
Ubrana. — Żegnaj ukochana
Matko. Idę już, idę — za dziwnym idę kwiatem,
Odziana idę szkarłatem
Przez łzy — przez jasne łzy — — — —
O, serce płacze, o, serce wzdycha
I niespokojnie drży, tęsknie drży
I łka z cicha — — — — — —

BOGINI MATKA:

O, Elis, Elis, fatum ogniem pała.
O, Elis, Elis, drży natura cała.

(Pioruny).

ELIS:

Nieznany bogu — zbaw —
W imię kobiety świętych praw
Wyjdź niezbadany wielki robotniku,
Usłysz wołanie łabędziego krzyku...

BOGINI MATKA:

O, Elis! — Fatum, Matka, Duch sam
Dały ci rozkaz — — — —

(Piorun).

ELIS:

Znam rozkaz, znam —

(Na kolanach u wejścia namiotu).

Litości, bogowie, litości!
O, nowa śmierć powionie,
O, na marmurowem łonie
W purpurach błyśnie krew...
A na ramiona śnieżyste
Czerwony spłynie jad...
Z mych pierś ród wylęgnie
Gwiaździste sfery sprzęgnie...
Z mych piersi wyjdzie długi sznur
I zdławi świat.
Z mych łon powstanie zbrojna dłoń
I Elizejską zmąci toń...

BOGINI MATKA:

O, Elis, Elis — Fatum ogniem pała,
O, Elis, Elis, drży natura cała.

(Pioruny).

ELIS:

O, matko, matko — o już — o już
O, pocałuję — pocałuję
Te usta śliczne, koralowe...
Bo je miłuję, ach, miłuję —
Te usta boskie, Apollowe...
I pocałunkiem je zabiję.
Roztulę, rozkołyszę,
Wyświeżę, jak lilije,
Umaję i uciszę.
O pocałuję, pocałuję
Ustami, źrenicami,
Bo je miłuję, ach, miłuję

Te usta lśniące koralami...
I kędziorami je owiję
I wydam z ust korale...
I pocałunkiem je zabiję,
Przepieszczę i przepalę...
(Wchodzi do namiotu. — Milczenie).

BOGINI MATKA *(patrząc z dala):*
W lilijowe tuli go ramiona.
Niech będzie rozkosz pochwalona!
Na piersi kładzie go śnieżyste...
Stają się prawa wiekuiste.
Goreje zemsty sina toń,
Powstają białe ramiona do lotu...
I na dziewiczą chyli się skroń...
Pan złocistego namiotu...
Wydaje z ust korale
I kędziorami ją owija...
I zmienia krew w opale...
I pocałunkiem ją zabija...
Lilijowe świecą w krąg ramiona...
Płomienna zemsta ukojona...
Na piersiach leży król śnieżystych
Goreją ognie praw wieczystych...
(Kamienieje. — W dali Apollo).

CHORUS:
Wolom rządzącym stało się zadość,
Ale na ziemi królują radość
I wieczne życia promienie...
Więc, gdy się spełnia dziś przeznaczenie,
Jutro znów życie się słońcem napawa
I boski Apollo wstępuje w swe prawa...

APOLLO *(u wejścia do namiotu):*
Ja bóg, ja Jedność, ja harmonija, moc.
Niepokalany, czysty, Jednolicy...
Ja wiecznie młody, niewzruszony.
Błogosławionej źródło ciszy.
Ja bóg, ja Piękno — Ogień, czar,
Wyzwalam was z przeznaczeń, z kar,
Powstańcie na rozkoszne boje
Wy wieczni! wiecznych duchów woje! — — —
(Odchodzi).

CHORUS:

Miłości boskiej dziwne dary!
O, na rozkoszne idźcie boje,
Wy wieczni, — wiecznych duchów woje...

(Elis wychodzi z namiotu).

ELIS *(do skamieniałej Matki):*

O, matko, matko — samo słońce, samo słońce...
Stało przedemną, wspaniałe, płonące
I owinęło me biodra
I całowało po szyi.
A jakaś jasność szczodra
Z kwiatami lilii
Wpłynęła w me ciało rozkosznie...
Jak przeźroczyste puchy,
Jak lotne duchy
Ku majom, ku wiośnie...
O, matko, matko — wspaniałe, płonące
Widziałam samo słońce...

BOGINI MATKA:

O, Elis, Elis — było słońce,
Lecz za niem gwiazdy przyszły ludnie.
Więc idź, dziecino, spać bez zmory.
My w kraju, gdzie pod tęczą cudnie
Bogowie wiodą rozhowory...
Bogowie wiodą rozhowory,
A jasność płonie nieskończona...
Przez złotocienne mknie wieczory
Łabędzio skrzydła łódź Charona.
Promieni jasność nieskończona,
A wśród cyprysów lśnią kolumny
I jasnych bogiń świecą łona,
I świeci błękit słodkoszumny —
W cieniach cyprysów lśnią kolumny.
A chyże fauny gonią w gajach,
A nad jutrzenką Jowisz dumny,
A lotne nimfy przy ruczajach,
Miedziane fauny gonią w gajach,
A ciche pieśni płyną ludnie
I o złocistych gwarzą majach,
Na szczerosine mkną południe,

Świetlane pieśni płyną ludnie,
A sny skrzydlate śnią bez zmory,
My w kraju, gdzie pod tęczą cudnie
Bogowie wiodą rozhowory. —
(W namiocie u wejścia staje Aleksander)

ELIS *(do Matki):*
Ot, słońce, słońce — czy widzisz je?
To słońce, słońce — pokochaj mnie. —

KONIEC.

Kazimierz Lubecki.

Z cyklu pod napisem „Hymni sacri“.

SERCE JEZUSA.

Palasz, o, purpurowe słońce, i szkarłaty
Gorejących swych blasków puszczasz na bezmiary
Sinej wody. Różowi się ocean szary
I kraśnieje o zmierzchu żywioł popielaty.

Chmurna skała nadwodna rozjarza się w żary
Rubinowe, z niej stał w świetle gmach bogaty,
Gdzie blokami onyzy, krwawniki, agaty...
A jak różowe ognie, są mgliste opary.

O, słońce, jakże straszną bez ciebie by była
Topiel nieogarniona i nadmorska skała!
Zimny świat by był, jako chłonąca mogiła!

Słońce wspaniałe, Serce Jezusa, co pała
Nad światem i z którego bije światła siła
I blasków purpurowych niewymowna chwała!

Kraków, 1904.

D. Filozofow.

Verhaeren*) i Vandervelde.

Verhaeren i Vandervelde — Dekadent i socyalista. Czysta poezya — ten zbyteczny kwiatek rozkoszy i tak „pożyteczna“ propaganda ideałów społecznych. Cóż między nimi wspólnego? A jednak wspólne się znalazło. I nic w tem zresztą dziwnego. Zbliżenie się dekadenta do socyalisty jest na Zachodzie całkiem naturalnem; tam poziom kultury dotarł wysokości, wobec której sztuka, czysta zbyteczna sztuka, jest uważaną za najwyższy dar wolnej ludzkości. Zastrzegam się oczywiście co do Niemiec — znanych z głośnego prześladowania dekadentyzmu, które znalazło swój wyraz w wykluczeniu „secessyi“ niemieckiej z wystawy w St. Louis. Ale i tam po długich debatach opinia publiczna doszła nareszcie do świadomości, że wolna sztuka (w przeciwstawieniu do akademicko-oficyalnej) jest w istocie swej postępową. Do tego wniosku doprowadziły po wstępnych bojach takie pisma jak „Simplicissimus“, „Pan“, „Insel“, Jugend“ i inne.

— — — — — — — — — — — — — — —

Vandervelde nie ukrywa swej miłości do Verhaeren'a i dekadentyzmu. Swoje studyum statystyczne: „L'exode rural et le retour aux champs“ on illustruje cytatami z utworów Verhaeren'a „Les campagnes hallucinées“ i „Les villes tentaculaires“.

Oczywiście jest pewna różnica w poglądach na wieś i na miasto — między społecznikiem i artystą. Pierwszy porusza problemat ekonomiczny, drugi — problemat cierpienia. Pierwszy wierzy, że dzięki niesłychanym środkom komunikacyjnym miasto wróci do wsi — tylko nie do tej wsi starej, niezreformowanej — ale do tej odnowionej kulturą. Drugi pyta: ażali nawet najjaśniejsza przyszłość zdoła otrzeć wszystkie łzy. Atoli i społecznik i artysta zgadzają się w tem, że dzisiejsze miasto — to źródło wielkiej trucizny — to kuźnica szatańska.

Ta myśl wywołuje u Verhaeren'a poprostu przerażenie, u Vanderveld'a głębokie, zimne zamyślenie.

Verhaeren chwilami jęczy i płacze — Vandervelde oblicza na chłodno.

I oto rezultaty obliczenia na chłodno. Prawie dziesiątą część ludności wiejskiej już wessało miasto-pożeracz dzięki niezmiernie rozwi-

---

*) Emil Verhaeren ur. w r. 1855 a sześć lat starszy od Meterlincka. Verhaeren, Meterlinck, Rodenbach to przewodnicy „la jenne Belgique“. Ruch zainicyowany przez „Młodą Belgię“ przypomina ruch estetyczny w Anglii rozpoczęty przez Ruskina i prerafaelitów, a zakończony przez Morrisa. (Przyp. Red.)

niętym środkom komunikacyi. Te same jednak środki komunikacyjne wykonają prawdopodobnie missyją decentralizacyjną i rozniosą z miast kulturę wykutą w płomieniach życia miejskiego. Powrót na wieś bez zerwania stosunków z miastem — oto droga, po której pójdą hufce walczące z trucizną miasta. Miasto obudzi świadomość wolności, miłości i braterstwa, wieś da podstawę do nowego, duchowego życia. Ale powtarzamy wieś zreformowana. Podtrzymywać wieś dzisiejszą to to samo, co siać zboże w Belgii lub w Anglii wtedy, gdy rynki przepełnia tanie zboże z Ameryki i z Australii. Trzeba tedy wieś posadzić w mieście, a miasto przenieść na wieś.

Nad rozumowaniami społecznika unosi się niby ptak wieczności tęsknota dekadenta; nad problematem ekonomicznym unosi się problemat cierpienia. Verhairene cierpi.

„Biada“ — woła — „łąka się już kończy —
„Jej dzwonek zamarł i puste jej młyny
„Biada ci łąko — krew twoja się sączy
„W anielskiej agonii już gasną doliny“.
Miasto — wampir, miasto pożeracz wyssało
Całą krew wsi, która gnana halucynacyą
Idzie za wizyą wszechmocnego miasta —
Miasto z dniem ołowianym, z roziskrzoną nocą
Miasto, z którego patrzą marmur, stal, drzewo, złoto.

Ten dziwoląg okropny, w imię niepojętej dla nas przyszłości, pochłania ludzi, łamie życie, depcze obrazy Boga w sercach tysięcy. — Istne koszmary — oderwani od przyrody, zduszeni w ciasnych ciemnicach mieszkańcy wsi dławią się dymem w olbrzymich fabrykach — pudłach śród ogłuszającego huku maszyn. Następuje mechanizacya duszy — choroby, rozpusta, pijaństwo. — A tymczasem dokoła pląsają wydelikacone namiętności szalejącego człowieka.

Przerażająco krzyczące bluźnierstwa,
Popioły, wierzące w piękno materyi,
O bezlitosne obrazy
Sztuki skrwawionej brutalnie —
O rozkosz, która śpiewa i skacze
W brzydocie każdej pokrzywionej linji —
O rozkosz ludzka po tamtej stronie radości
Pijana w spojrzeniach, bezmyślna w myśleniu,
O biedna rozkoszy żądna ofiary,
Żądna przemienić kwiat w gryzącą bestyę. —

Jedyna pociecha, to wiara, że bądź co bądź nad tym piekłem unoszą się jakieś niezbadane idee — wyroki. Kiedy nastąpi ich tryumf

nie wiemy. — Czujemy jednak wyraźnie, że nas otacza Tajemnica, że w życie nasze wrywają się wieczność, chaos, siły nadelementarne nie podległe definicyi. — I dziękujemy tym, którzy kierują naszą myśl ku tajemnicy. Dekadent bezwątpienia nie rozwiązał kwestyi — bo któż ją zresztą rozwiązał. Dekadent postawił kwestyą — i na tem właśnie polega jego zasługa.

Społecznik zaś dał próbę rozwiązania kwestyi. Na podstawie ściśle naukowego materyału on przepowiada powrót do wsi przemienionej, wolnej od starych przesądów ciemnoty i nędzy.

Kazimierz Lubecki.

z cyklu pod napisem „Hymni sacri".

HOSTYA.

Czemu nie znają Cię, o Hostya biała?!
O, Hostyo, Boska już samą pokorą!
Czemu z miłości, jak świece, nie gorą,
A Twym ołtarzem nie jest ludzkość cała?...

A przecież leżysz, jak perła uryańska,
Skarbem tym ludzkość byłaby — szczęśliwą!
I nie chcą, nie chcą, o bolesne dziwo!
Sięgnąć po Ciebie, o Hostyo niebiańska!!!

A przecież leżysz, jak kwiat, śliczny bardzo,
Co pachnie, leczy i nigdy nie więdnie...
A mimo idą tłumy nieoględnie
I Hostyą, kwiatem wszechistnienia gardzą...

Jak gwiazdaś jasna łagodnemi blaski,
Przecudnych światów ofiarujesz władztwo,
A posiąść nie chce Cię nasz świat: biedactwo!
Biedny, nieszczęściem tem zgniecion, aż... płaski.

O, Hostyo, Hostyo! czemu tak jest, czemu?!
Czemu Cię w dusz swych nie przyjmą cymboryą,
Nie zaśpiewają jednym głosem „gloria!"
Przenajświętszemu i Przenajsłodszemu?

Kraków, 1904.

Antoni Pawłowicz Czechow.

Niektórzy pisarze pod koniec życia przychodzą do jakiegoś fatalnego punktu, do jakiejś martwej ściany i ich zimne słowa nie tryskają prawdą i gorącem drżeniem. Nie do takich należał Czechow. Życie jego to droga od realizmu do symbolizmu: śmierć mu wyrwała z ust niedopowiedziane słowo. To słowo nazywają niektórzy świętem i widzą w Czechowie przedstawiciela tajemnicy, kapłana prawdy mistycznej. — Wraz ze śmiercią Czechowa zgasło pasmo' światła, opromieniającego pół nieba i pół ziemi.

Pół nieba ogarnął cień,
Tylko tam na zachodzie błąka się dzień
I marzy świtanie....

Poczucie tajemnicy nie było obcem dla Czechowa, to poczucie jednak nigdy nie przybierało bezlitośnych form, właściwych niektórym mistykom — metafizykom. — Czechow czuł tajemnicę w każdem pojedynczem zjawisku — widział słońce w trawie, w drzewach, w człowieku. — Słyszał boską muzykę, to tętno życia. — Kochać życie w procesie skupienia się, w świętem drżeniu tworzenia — oto cel zaproponowany przez Czechowa ludzkości.

Cześć dla człowieka, nienawiść dla przemocy! Nigdy jednak ta cześć nie przechodziła w barbarzyński kult jednostki — nigdy Czechow nie uchylił czoła przed człowiekiem — bożkiem.

Czechow tęsknił.

„Im cięższej mu było na duszy, tem silniej on odczuwał, że gdzieś na tym świecie — gdzieś wśród jakichś ludzi jest życie czyste — szlachetne, ciepłe — pełne gracyi, miłości — pieszczoty — radości — wesela".

Wspólnie z tą tęsknotą żyła w Czechowie świadomość chaotyczności i rozkładu współczesnego życia, a tryumfująca płaskość napełniała go oburzeniem. Oburzenie uspokajała w nim czasem przyroda — zielona trawa wyciąga go z Rzymu, krater

Wezuwiusza wyprasza go z Pompei. — Całe życie jego to dążenie do krateru.

Z hukiem i świstem — śmiejąc się i płacząc, klaszcząc w dłonie lub grożąc biczem — szamotało się koło Czechowa życie. I on je odrzucał — właściwie przeistaczał, oblewał drżącem, na w pół zrozumiałem światłem — albo szedł do łoża umierającego i przysłuchiwał się, ażali nie usłyszy gdzieś jęku rodzenia.

— — — — — — — — — — — —

Dwa niebezpieczeństwa grożą naszemu społeczeństwu. Jedno, to nawoływanie do życia z komfortem, mechanicznie pięknego, ale mistycznie ohydnego; — drugie, to odwoływanie od życia, od ciała — ku ascetyzmowi w imię metafizycznych ideałów.

Ten konflikt przerażający znajduje swe rozwiązanie w estetyce religijnej. Zaledwie przy świetle lampki mistycznej zaczynamy pojmować sens życia — tajemnicy. Wtedy spotykamy się oko w oko z cudem, ale nie z takim gwałcącym porządek prawowity, ale z takim, wywołującym najwyższe prawo.

Czechow był kapłanem religii estetycznej. Jego opowieści, to dziewicze dotknięcia do tajemnicy: ruchy jego duszy, to modlitwy do Boga wcielonego.

Ztąd drżenie jego przed życia świętością. „Gdy na promie przeprawiał się przez rzekę, a potem, wchodząc na górę patrzał na wieś swoją rodzoną i na zachód, na którym pasmem wąskiem płonęła zorza rumiana, to myślał wtedy o tem, że prawda i piękno istnieją bez przerwy jako główne pierwiastki życia człowieczego. I uczucie młodości, zdrowia, siły, niewypowiedzianie słodkie wyczekiwanie szczęścia tajemniczego, nieznanego budziły się w nim z siłą panującą — i życie zdawało się mu prześlicznem“.

Jakże niepodobnym jest Czechow do tych „mistyków“, którzy oddaleni od życia, od Boga wcielonego, tracą uczucie miłości do świata, stają się obojętnymi na przemoc, plamiącą życie. Zamknięci dobrowolnie w malutkiej kapliczce, nie biorą udziału w budowie świątyni powszechnej.

Czechow był zanadto wrażliwym, aby nie słyszeć jęków wyzyskiwanych i jego objawienia estetyczne, kierowane konie-

cznością, podnosiły głos przeciw przemocy. — Z drugiej strony jednak Czechow nikomu nie narzucał chłodnych etycznych formułek, wychodząc z założenia, że człowiek ma wyższe nad szczęście przeznaczenie — to wytworzenie dobrej woli.

Ze śmiercią Czechowa świat utracił wielkiego artystę i genialnego „przewidującego“.

List Borysa Bugajewa*).

Wielmożny Panie!

Pochlebiła mi Pańska uprzejma uwaga, która znalazła wyraz w zaproszeniu mnie do przyjęcia współpracownictwa w *Myśli Polskiej*.

Nadszedł czas, gdy wspólne palące zagadnienia Ducha winny być rozstrzygnięte wspólnymi siłami. Fala nowego idealizmu szeroko rozlała się po Europie i w ślad za wiele szumiącymi sporami oczekujemy pracy solidarnej — jednoczącej.

Rosyjska religijna myśl, natchniona Rozanowym, Miereżkowskim, Wł. Sołowjewym nie może pozostać głuchą na braterskie wołanie *Myśli Polskiej*, za którą lśnią także nazwiska, jak Mickiewicz, jak Wroński.

Chętnie przyjmę współudział w Pańskiem wydawnictwie: żywię nadzieję, że nasze ogólno-ludzkie tendencye i wzniosłość poruszanych przez nas kwestyi, postawią nas w szeregach najszlachetniejszych zjawisk dziejowych.

Proszę przyjąć wyrazy i t. d.

Borys Bugajew.

Moskwa — Arbat — dom Bohdanowej.

*) Redakcya *Myśli Polskiej* widzi w tym liście wyraźne odbicie jej własnych tendencyi. — P. Bugajew jest autorem „Północnej Symfonji“ i innych utworów.

Witold Sygierirz.

SIENA.

Z pośród książek o t. zw. „naukowej treści“, mało która wzbudziła tyle zainteresowania co Siena Ks. Chłędowskiego. Jeżeli mniej lub więcej pochlebne oceny pism zakrajowych mają być dowodem wartości książki to Siena zdobyła ów dowód najzupełniej. Sam wyraz Siena w umyśle nawet i przeciętnie inteligentnego człowieka budzi już jakiś odrębny nastrój stając się niejako uzmysłowieniem całego quattrocenta, nie podobna więc niezrozumieć pociągu autora do Sieny. W roku 1903 w Londynie wyszła książka Langtona Douglasa: Historya Sieny (Langton Douglas: A History of Siena) i oba te dzieła dziwnie się ze sobą zbiegają i że tak powiem nawzajem uzupełniają. Chłędowski pisząc swe dzieło stanął bardziej na stanowisku estety, Douglas bardziej na stanowisku historyka, Chłędowski jak powiada Leon Piniński (L. P. Siena Kazimierza Chłędowskiego) nie ograniczając się do monograficznego przedstawienia dziejów tego miasta. unika wejścia na pole wypadków ogólno-włoskiej polityki, ale baczniejszą uwagę poświęca wewnętrznej, autonomicznej organizacyi gminnej miast włoskich, Douglas obejmuje tło szersze i właśnie tamtym stosunkom pierwszym baczniejszą poświęca uwagę. W dziele Chłędowskiego chodzi mniej o samo miejsce — o niegdyś potężną i dumną rzeczpospolitą toskańską, a dziś skromne miasteczko, o jego rolę i stosunki polityczne jak raczej o kilka wieków średniowiecza Włoch — o przedwstępne ważne historycznie i estetycznie akty renesansu. Chłędowski umie wniknąć w rdzeń tego czem była organizacya polityczna w odniesieniu do życia każdej jednostki, tak że czujemy się przeniesieni w ciasną atmosferę miejskiej republiki włoskiej, a autor ponadto jeszcze umie to wszystko przedstawić z zacięciem i przejęciem prawdziwego sienneńczyka. Na najwyższe jednak uznanie zasługują te ustępy dzieła, które autor poświęca charakterystyce obyczajów ówczesnych i w ogóle wszystkiemu temu, co się podciąga ogólnie pod pojęcia „historyi

kultury“ wśród tego znowu w prawdziwie sposób mistrzowski odtwarza nam postacie wielkich sieneńczyków wkładając w nie pewne duże nawet rozmiłowanie, a największe chyba dla św. Franciszka z Asyżu, bo choć nie sieneńczyk był jasnem promieniem na tle szarzejących mroków średnich wieków. Druga część dzieła to historya sztuki. Opisując bitwę pod Montaperti Chłędowski wszystkie sympatye swe zwraca w stronę Sieny przeciw Florencyi, a przychylność ta rozciąga się dalej nie pozbawiona cechy symbolicznej, jak powiada Rittner, (Ein Buch über Siena) bo sympatye autora stoją również po stronie sieneńczyka Duccia do Buoninsegna przeciw Florentyńczykowi Giottiemu. — Autor zwalcza twierdzenie Vasarego zdaniem mojem słusznie i szczęśliwie, bo choć jak mówi Piniński wpływ Duccia nie wyszedł po za Sieną, a Giotto oddziaływał potężnie na całą Toskanią to zdaniem mojem niczego jeszcze nie dowodzi, a pamiętać potrzeba, że Duccio jest pierwszym, który się otrząsł z więzów bizantynizmu i jest jasną jutrzenką nowego kierunku. — Uwagi autora o architekturze i rzeźbie przynoszą wiele rzeczy nowych, są trafne i interesujące i może właśnie ta druga część dzieła ma największą wartość naukową, bo oparta na najgruntowniej zebranych dokumentach, bo doprowadzona do najidealniejszych granic objektywności historycznej, przemawia do czytelnika raczej zawsze samym materyałem wzorowo i umiejętnie zebranym i ułożonym, niż opinią własną autora. Przeglądając jednak Chłędowskiego i porównywując dzieło jego z Douglasem widzi się jeden brak i zdaniem mojem bardzo ważny. Rozdział o kobiecie, rozdział „Donna Angelicata“ powinien być widzi mi się cząstką czegoś obszerniejszego, czegoś co przecież tak ogromnie tkwiło w duszy każdego sieneńczyka, czegoś co wypełniało olbrzymio większą część życia Sieny, co stanowiło tło ogromnie mile i miękkie. Chłędowski prawie że pominął życie religijne i część Matki Najświętszej. Dwa rysy specyalnie wyłaniają się z kronik, mówi pan Wyzewa (T. de Wyzewa: L'Ame Siennoise) tworząc, że powiem tło wieków duszy sieneńskiej, a są niemi wesołość i pobożność obydwie stałe i niezmącone, a zresztą ściśle połączone ze sobą. Wesołość i pobożność Sieneńczyków zachowała

w sobie zawsze cechy i znamiona szczere naiwnej dziecinności. W sposób najwięcej naiwny ci poczciwi ludzie mówi dalej pan Wyzewa uważali Najświętszą Pannę jako swą władczynię i jako specyalnie nad nimi czuwającą. Lud miał jak najgłębiej tkwiące złudzenie, że żyje w bezpośredniem i rzeczywistem zetknięciu z niebieską patronką i każdy z mieszkańców Sieny wyobrażał sobie, że Matka Boska z swej własnej osobie panowała nad miastem gotowa zawsze do łagodzenia gniewu swego Syna. — To pierwszy rys charakterystyczny — drugim to taka bajeczna pogoda to coś, cośmy przyzwyczajeni uważać jako nieodstępną cechę ludzi z tych czasów w towarzystwie szeregu nieodłącznych przywar kłótliwości, próżności, lekkomyślności i t. d. i dalej. Dzieci — z duszą dziecięcą, naiwnie wierzącą, pogodnie uśmiechniętą, przyzwyczajoną poświęcać wszystko dla fantazyi i kaprysu choć nieraz złą, przewrotną, okrutną jak nigdy to sieneńczycy — a mimo to, czy może właśnie dla tego żadne miasto na świecie, jak pisze p. Wyzewa, nie jest bardziej pociągające, więcej uśmiechnięte, bardziej życiem bujne jak Siena, która charakter ten swój zachowała do dnia dzisiejszego, wyróżniająca się wybitnie od umarłej Pizy czy ponurego San Geminiano, od unowocześnionego Rzymu lub Medyolanu.

SZLACHTA

KOMEDYA W JEDNYM AKCIE.

Tam, kędy biały leciał ptak.

JWPani MARYI hr. WIELOPOLSKIEJ.

OSOBY CZYNNE:

PAN TRZEŹWEGO POGLĄDU,
PAN GASNĄCEJ WIARY,
STUDENT — NIBY POSTĘPOWY,
PANI WYOBRAŻAJĄCA PATRYJOTYZM,
PANNA WIERNA „ROMANTYCZNOŚCI“.

OSOBY BIERNE:

KOMISARZ — ŻYDZI.

RZECZ DZIEJE SIĘ W POLSCE NA TLE ZWYRODNIAŁEJ WOLI.

Scena przedstawia salon. — Na ścianach „przodkowie“. — W głębi vis á vis sceny drzwi na werandę.

Na scenie na razie: Pan trzeźwego poglądu i Pan gasnącej wiary — potem Pani wyobrażająca Patryjotyzm wraz z Panną wierną „Romantyczności“ i ze Studentem, niby postępowym — potem Komisarz — Żydzi.

Za sceną grzmi licytacya coraz głośniej — coraz bardziej dziko — Panowie kręcą się w Niewiadomości — Irrytacya.

POCZĄTEK.

PAN TRZEŹWEGO POGLĄDU:

Ohydny kraj — tu się wszystko mąci
I trąci
Nie przesadzam w niczem
Cebulą — albo Mickiewiczem —

PAN GASNĄCEJ WIARY:

Cóż, my u schyłku? —
Nie rządzą nami już czary
My słudzy praw najmniejszego wysiłku —

PAN TRZ. POGL.:

Wiecznie jęczące ofiary —

PAN GASN. WIARY:

Jęczymy — kraj zamiera stary

PAN TRZ. POGL.:

Krach dziś rzecz zwyczajna!

PAN GASN. WIARY:

A jednak żałość tajna
Chwyta — bo, patrz, tu i na kresach
My w fatalnych interesach —

PAN TRZ. POGL.:

Tylko nie spuszczaj z tonu!
Nigdy nikt z mego salonu
Nie spuścił z tonu —

PAN GASN. WIARY:

Gdy nas westchnienia nie ozłocą
Po co my właściwie — po co?

PAN TRZ. POGL.:

My?! nas już niema! illuzye — sny!
Któż cofnie wyrok? nie my! nie my!

(W tej chwili powóz zajechał — Irrytacya wzrosła — Wchodzą szybko: Pani wyobrażająca Patryjotyzm, Panna wierna „Romantyczności" i Student).

PANI WYOBR. PATRYJOTYZM: *(z ogromem współczucia).*

O mon chér — quelle affaire

PAN TRZ. POGL.:

Bonjour —

(Przewitanie).

PANI WYOBR. PATR.:

Przyleciałam z pomocą —

PAN TRZ. POGL.:

Już przepadło — que faire —

PANI WYOBR. PATR. (*trzęsąc w górze ręką*):

O, nas nie zdruzgocą —
My pełni wiary — sił —

PAN TRZ. POGL.:

Illuzye — pył —

PAN GASN. WIARY:

Na własne kazano nam się oprzeć siły
I siły, gdzieś się ulotniły —

PANI WYOBR. PATR. (*podnosząc prawicę, groźnie*):

My świętej Romy mur,
My moc — nie pył! nie wiór!

PAN GASN. WIARY:

My jak pomniki w jutrzence
Różowi — krzyżujemy ręce —

PANI WYOBR. PATR. (*krzyżując ręce na piersiach*):

Bez opozycyi — bez protestu
Giniecie —

STUDENT:

My cisi — bez szelestu —

PAN TRZ. POGL.:

Opozycya rzecz prostaczków — owiec
Kto rozumny — ugodowiec —

PANI WYOBR. PATR. (*z roziskrzonym wzrokiem*):

Cóż to, my — lalki —
Manekiny — bez walki —

PAN GASN. WIARY (*rozkłada ręce*):

Walka trudna! coś się dzieje!
Połamany całkiem szyk
Każdy z nas kuleje
Jeden bankrut — drugi bzik —

PANI WYOBR. PATR. (*biorąc się pod boki*):

To wołanie niby modnej fali
My nędzni — głupi — mali! —

PAN TRZ. POGL.:

Co racya — to racya — wszędzie mętne głowy.
Wrzeszczą: czas dziś postępowy
Każde kocię, szczenię
O wyższe woła przeznaczenie...

PANI WYOBR. PATR. (*ściskając oburącz głowę*):
Kalumnie — Kalumnie!

STUDENT (*podchodząc*):

Przyznać boleśnie, jak w trumnie —
Ale wie świat cały —
Wie nawet hołota —
My trzy dziś mamy ideały:
Sport — paradoks i kokota!

PANI WYOBR. PATR. (*z pozą jak w modlitwie*):

Boże — w własnych brudach
Lubuje się jak w cudach.

PANNA WIERNA „ROMANTYCZNOŚCI“:
Ja z tymi panami się godzę —
Czuję — na groźnej stanęliśmy drodze —

(Za sceną krzyk rośnie).

PANI WYOBR. PATR. (*łamie dłonie*):
Co za wrzask —
Cóż wy stoicie bezradni
Wy — ongi gromowładni —
Dziś krzyczący puch —

STUDENT (*poważnie i smutnie*):
Nas nie straszy ruch —

PANI WYOBR. PATR. (*wyrzucając rękami*):
Więc cóż stoicie bez ruchu?

STUDENT (*ponuro*):
Cierpimy na duchu —
Nie widać wielkiej woli,
A chyży lot sokoli
Dławią strach wybuchu
I tłum więdnących magnatów
Podniosłych myśli, marnych rezultatów.

PANI WYOBR. PATR. (*schwyciwszy się pod boki*):
A gdzie ta pieśń, co krzyża godłem
Za rycerskiem lśniła siodłem —
Gdzie te prawice —
Co stutysięczne konnice
Szalejące w skokach
Trzymały za uzdę w obłokach.

(Irrytacya rośnie).

STUDENT:
Nie wiem — —

(W dali — w głębi idą żydzi z komisarzem na czele; obok niosą stół czerwonym suknem okryty).

PANI WYOBR. PATR. (*Ujrzawszy żydów*):
Co to? Kto tam!? precz — precz.

PAN TRZ. POGL. (*podbiega*):
Ma chere — laisse!

PANI WYOBR. PATR. (*w pełni majestatu*):
Pod cienie staropolskich strzech
Nie wejdzie żyd!

Tu święte łzy — święty śmiech —
Widma szabel, hełmów — dzid!
(Panowie rzucają się do uspokojenia pani wyobrażającej Patryotyzm).

PAN TRZ. POGL. (*tonem przekonania*):
Ma chére — dojdzie do rządzących sfer
I masz — une nouvelle affaire.

PANI WYOBR. PATR. (*dysząc szybko*):
Niech — niech — —

PAN TRZ. POGL.:
Moja droga — to histerya —

PANI WYOBR. PATR. (*prawie bez tchu*):
Niech — niech — —

PAN GASN. WIARY (*truchlejącem szeptem*):
Proszę pani, żandarmerya
Dziś szaleje — ja sam się boję.
Choć w swoim czasie przypinałem zbroje —

PANI WYOBR. PATR. (*rozkłada w drzwiach ręce*):
Na dziada przysięgam obrazie,
Że ledwie po moim zgonie
Dam tej zarazie
Wejść w święte ustronie
Dziadów — —
(Do żyda zbytnio zbliżonego).
Precz płazie!

PAN TRZ. POGL. (*stanowczym głosem*):
Ma chére — nie miej do mnie żalu,
Ale w mym domu skandalu
Nie zniosę —

PANI WYGL. PATR. (*siada w drzwiach*):
Ja się w drzwiach położę
Jak Rejtan — jak anioły boże!

PAN GASN. WIARY (*przerażony*):
Pojmą myśl pani przewrotnie
I naprowadzą „sotnię“ —

PANI WYOBR. PATR.:
Laisser battre — laisser battre —

PAN TRZ. POGL. (*nachylając się, na ucho*):
Opozycya kulturalna
Jedna jedyna — legalna!

PANI WYOBR. PATR. (*w szale*):
O karły — starce
Nuże na harce —
Za kraj — za lud
Pogońcie cud —
PAN GASN. WIARY (*oburzony*):
My starce?! może! ale my szlachta
Nie żadna płachta — —
La valeur des gens bien nés
Ne depend pas des années —
PAN TRZ. POGL. *do pana gasn. wiary:*
Laisse — laisse — — —
(*Żydzi nacierają giestykulując*).
PANI WYOBR. PATR. (*do żydów*):
Precz z Polski — precz
Ja każę — ja zbudzony miecz —
PAN TRZ. POGL. (*nachylając się nad P. w. p.*):
Ja sam krzyknę czasem,
Ale nie z takim hałasem —
PANI WYOBR. PATR. (*wielkim głosem*):
Ja Rejtanowego ducha.
PAN GASN. WIARY (*cały drżący*):
Niech też pani nas wysłucha —
PANI WYOBR. PATR. (*z rękami do góry*):
Ja rozszalały lot —
Ja orzeł — grzmot —
STUDENT (*który stał z panną na uboczu podchodzi*):
Przyznać potrzeba, że system obronny
Pani — — płonny —
Dzisiaj nawet chłop
Potępia system szop — —
PANI WYOBR. PATR. (*wołając*):
My szlachta w koronie, w dyademie —
Nie w jakimś tam systemie —
PAN TRZ. POGL. (*tak, by go nie wszyscy słyszeli*):
Każdy pewnikiem
Fantazyą polską dzisiaj nazwie bzikiem —
PANNA WIERNA „ROMANT.“:
Ci ludzie bez serca —
Każdy z nich morderca — —
(*Na czele żydów staje komisarz rządowy*).

PANI. WYOBR. PATR. (*w szale*):
Na koń — niechaj siadają na koń
Pochodnią rozpłomienią skroń
I niech zwołają tu
Potomków tęczowego snu —

PANNA WIERNA „ROMANT.“:
Jaka ona śliczna
Zaiste romantyczna — —

PAN TRZ. POGL. (*do komisarza*):
Pan uwzględni — my — Polacy —
Proszę pana zawsze tacy — —
Rzadko zimni — — sztywni
My przeważnie prymitywni —

PANI WYOBR. PATR. (*wielkim głosem*):
My sercowi —
Polska sercem świat odnowi —

KOMISARZ:
Prawo nasze zna człowieka —
Prawo ruskie często czeka

PAN TRZ. POGL. (*niezmiernie stanowczo, ale cicho*):
Ma chére — proszę cię ostatni raz
Nie kompromituj nas —

PANI WYOBR. PATR. (*maestozo*):
My świętej Romy mur — —
My moc — —

PAN TRZ. POGL. (*z wymuszonem giestem irrytacyi*):
Je vous assure
Nigdym nie przypuszczał, by ktoś z mego salonu
Mógł tak strasznie spuścić z tonu —

PANI WYOBR. PATR. (*w szale*):
Tylko my dziś, my przy zbroi
Kobiety — kobiety — —

PAN GASN. WIARY (*ledwie stojąc na nogach*):
Niech się pani uspokoi —

PANI WYOBR. PATR.:
Tam kędy biały leciał ptak
Polecę w nadniebiański szlak —

PAN GASN. WIARY (*błagalnie*):
Pani nas przeraża — —

PANI WYOBR. PATR.:

Do senatu — do cesarza —

PANOWIE (*w rozpaczy*):

Ależ pani — ależ pani —

(*Z głębi — z ogrodu wyskakuje żaba — za nią druga — skaczą na panią wyobrażającą patryotyzm*).

PANI WYOBR. PATR. (*zatrzęsła się nerwowo*):

Precz ztąd te obydne twory —
O, mon chér —

PAN TRZ. POGL.:

Tu żab całe wory

PANI WYOBR. PATR. (*rzuca się*):

Podnieście mnie

(*Podnoszą*).

O mon chér, quelle affaire —

PANOWIE (*uśmiechając się*):

Cóż za przemienienie?

PANI WYOBR. PATR. (*trzęsąc się, szybkim głosem*):

Okropne wspomnienie —
Monsieur Pasteur
Vous le saver — le celebre penseur —
Schowajmy na chwilę pruderyę
Wynalazł bakterye —
O mon chér — bądź choć na chwilę czynny...
Gdzie pokój gościnny —
Miej duszę
Ja się przebrać muszę —
Jeden z tej zgrai
Ma twarz poprostu z liszai,
A drugi — bez przesady
Suchotnik tak okropnie blady —

(*trzęsie się — otrząsa suknię — włosy*).

PAN GASN. WIARY (*kiwa głową*):

I czem tu moc historyi
Wobec najnowszych teoryi —

PANI WYOBR. PATR. (*błagalnie*):

O mon chér — miej duszę
Wszak ja się przebrać muszę!

PAN TRZ. POGL. (*klaszcze w drzwiach na lokaja*):

Kalina —

PANI WYOBR. PATR. (*podbiega*):

Mon chér — tylko nie Kalina —
To Rusin — nie cierpię Rusina —

PAN TRZ. POGL.: (*hamuje się i podaje rękę Pani wyobr. patr.*).

Je vous prie — moi méme
Pokażę —

PANI WYOBR. PATR. (*czule*):

Ty taki dobry — ja wiem —

(*Żydzi wchodzą tłumnie*).

PAN GASN. WIARY (*kiwa głową*):

My nic już, nic! illuzye, sny
Któż cofnie wyrok — nie my, nie my! —

PAN TRZ. POGL.: (*w drzwiach odwraca się*).

Powiedziałem —

(*wychodzi*).

PANI GASN. WIARY (*łamie dłonie*):

Ach Boże — Boże nasz — Boże —

PANNA WIERNA „ROMANT.“

Odjęto nam złote sny —
Serce tak płacze — tak wzdycha,
Że snów przędza cicha
Opada i łzy
O chwili szemrzą skonania...
Och — my spragnieni kochania —
Och — my spragnieni pieszczoty
A sen nasz! gdzie sen nasz złoty?

STUDENT:

Błazeństwa — bzdurstwa — szopy
Zatarty całkiem ślad Europy.

K O N I E C.

Kongres teozoficzny w Amsterdamie.

W oryginalnem mieście, zbudowanem na palach, zebrało się z różnych stron świata 600 teozofów. Wśród nich spotykamy nie tylko przedstawicieli prawie wszystkich państw europejskich, ale i delegatów z Ameryki, z Azyi i z Australii, jest nawet przedstawiciel Nowej Zelandyi. Wszystkich przejmuje jedno uczucie, jedna nadzieja: „Z małego, międzynarodowego ziarna wyrośnie z czasem potężne drzewo, w którego cieniu ludzkość radośnie ukoi pragnienie braterskiej miłości". (Pierwszy paragraf statutu towarzystwa teozoficznego głosi: „celem towarzystwa — stworzyć ziarno międzynarodowego braterstwa bez różnicy wyznania, narodowości, kasty, płci i barwy skóry.").

Przewodniczącą kongresu — siwa Anna Bezant.

Ona mówi o ważności kongresu, o jego charakterze międzynarodowym, o jego znaczeniu dla przyszłości: wspomina o zuchwałej przeszłości, kiedy to wyśmiewano się z idealizmu, jako z dziecinady i imaginacyi, kiedy to pioner ruchu teozoficznego, genialna rosyjska kobieta, Helena Batawska, szła bezstrasznie przez szeregi bezlitośnych żartów, oszczerstw i prześladowań.

Dziś czasy się zmieniły. Nauka zrobiła wiele odkryć wywołujących myśl, że sporo jest jeszcze rzeczy między ziemią a niebem, o których się filozofom nie śniło — wszędzie — w literaturze, w sztuce — idealizm się odradza i teozofia idzie radośnie na spotkanie wiecznych potrzeb ducha człowieczego.

W ciągu 25 lat towarzystwo wielce urosło. — Liczy ono obecnie więcej niż 22.000 członków, cały szereg sekcyi (sekcye europejskie stanowią federacyę europejską), posiada literaturę obszerną, nie licząc około dwudziestu pism miesięcznych i przeglądów wydawanych w różnych językach.

Idea braterstwa na gruncie zjednoczenia duchownego coraz szerzej ogarnia świat. Cierpliwie badają uczeni przeróżne systematy religijne i etyczne i oto owoc tych badań uznanie jedności na dnie głębi. — Poważnie opracowują uczeni wschodnią psycho-

logię i filozofię i nakreślają metody rozwoju utajonych psychicznych sił w człowieku.

Ale te badania musi poprzedzić olbrzymia praca oczyszczająca — w przeciwnym razie siły utajone mogą się stać niebezpiecznym środkiem dla celów osobistych.

Misya teozofów polega na jedności w dążeniach ducha człowieczego po wszystkie czasy i w dowodzeniu tej jedności czynem. — Prócz wytworzenia ziarna międzynarodowego braterstwa towarzystwo teozoficzne ma następujące cele:

§ 2. Porównawcze badanie religii i filozofii.

§ 3. Badanie utajonych w człowieku sił psychicznych,

Uwaga: Wstępując do towarzystwa członek składa obietnicę szanować każdą wiarę, każde przekonanie.

Ta mała uwaga jaskrawo charakteryzuje ruch teozoficzny.

Program kongresu obejmuje wszystkie cele towarzystwa; program składa się z sześciu oddziałów: 1) nauka, 2) studya porównawcze nad religią, 3) braterstwo, 4) filozofia, 5) metoda, 6) sztuka. W ciągu dwóch dni w każdej sekcyi odczytywano cały szereg ciekawych referatów. wśród których wyróżniły się: mowa Dra filozofii Steinera (matematyka i okkultyzm) i mowa delegata z Brukselli Gastona Polaka (Symetrya i rytm w człowieku), wreszcie mowa miss Ajwi Guper (Wiara przyszłości).

Do niezwykle ciekawych należą także referaty z kriminologyi (w świetle teozofyi) referaty członków indyjskich (o wisznuizmie, o Baychawad-Gite) i cały szereg referatów poświęconych sztuce i symbolizmowi.

Sekcya holenderska podkreśliła swoje zamiłowanie do sztuki przez urządzenie artystycznej wystawy obrazów i wieczorów muzycznych.

Centralną figurą kongresu była bezwątpienia Anna Bezanti. Jej dwa wykłady — nowa psychologia i okkultyzm wywołują wrażenie imponujące. Kilku rysami zaznaczony historyczny pochód badań psychologicznych w ostatnich trzydziestu latach poczem nakreślone nowe drogi widniejąca w przyszłości nauki. — Pani Bezant przypomina jak od zbadania fizylogii mózgu nauka przeszła do studyów nad stanami świadomości, jak stopniowo po-

częła się zajmować nienormalnymi stanami duszy (sen i trans) i do jakich dziwnych nieoczekiwanych doszła odkryć.

Wielokrotne i ścisłe doświadczenia przywiodły uczonych do następujących wniosków:

Przedstawienie o czasie i przestrzeni podczas snu całkiem się różni od takowego na jawie (w ciągu minuty człowiek przeżywa wypadki ciągnące się w jego wyobraźni dnie, tygodnie, miesiące).

Świadomość pracuje w czasie snu za mózgiem, gdyż praca myśli w nerwowej substancyi mózgu jak dowodzą laboratorya jest daleko prędszą w śnie niż na jawie.

Gdy zewnętrzne organy uczucia są sparaliżowane (trans) działają inne daleko potężniejsze organy. Człowiek słyszy i widzi stokroć lepiej, lepiej, niż w zwykłym stanie. On słyszy o tysiące kilometrów, czyta zamkniętą książkę, nieomylnie określa chorobę wewnętrznych organów. W człowieku rozwija się wtedy siła jasnowidzenia (clairvoyance i clairaudience).

W takim stanie anormalnym zdolności duszy potęgują się: pamięć, rozum, wymowa dochodzą niezwykłej potęgi.

W człowieku przejawia się cały szereg faz świadomości — niby kilka istnień niezależnych od siebie.

Te wnioski posunęły naukę naprzód. Nauka poczęła śledzić za nie powszedniemi zjawiskami towarzyszącymi nawet zwykłym stanom świadomości. Okazało się, że wielu ma dar jasnowidzenia, bez zapadania w trans. Okazała się również częsta tożsamość między t. zw. proroctwami. a rzeczywistością. Podobne fakty już stanowią całą literaturę w dziejach, dla której osobliwe zasługi położył p. Majers.

Na Wschodzie już oddawna istnieje nauka, o duszy J o g a obwarowana, określona metoda samokształcenia i stopniowego przygotowania do obcowania z wyższymi światami.

Surowa fizyczna i moralna dyscyplina pozwala Hindusowi oczyścić i wysubtelnić swoje ciało, panować nad namiętnościami. rozumem by stać się duchem. Dopiero wtedy Hindus wchodzi w kontakt z nowymi, wyższymi wibracyami.

Na Zachodzie jednak nie ma takich przygotowań; ciało grube, nerwy zanadto podrażnione — mózg nie ma zdolności do

łączenia się z niewidzialnymi prądami. Oto dlatego on tak często traci równowagę osobliwie u poetów, artystów i genialnych myślicieli.

Wiele zjawisk świadczy o tem, że ludzkość przeżywa okres przejściowy: jej system nerwowy się wysubtelnia, wciąż powstają nowe organy odczuwania się. Dlatego nie można zapatrywać się na histeryą i neurastenyą tylko jak na zjawisko patologiczne: to są bezwątpienia zjawiska przejściowe. Gdy człowiek ogarnie niezbędną wiedzę, wtedy równowaga doń powróci.

Nauka czuje się zmuszoną do liczenia się wciąż z nowymi i nowymi faktami, pozostającymi do niedawna jeszcze w sferze przesądów i głupoty — ale ona walczy o każdą placówkę obserwacyjną i w tem jej siła. Walka między nauką a religią to tylko nieporozumienie. Prawda nie pomniejszyła się od tego, że ludzie schwycą jej część i poczynają wołania przeciw tym, co schwycili jej cząstkę drugą. Ślepi, ciemni ludzie toczą spory wzajemne, albowiem nie pojmują, że prawda jest wielostronną. Każda nauka to tylko jeden promień sceptra: gdy wszystkie promienie się zleją, dopiero wtedy powstanie jasność biała.

Prześlicznie wyraża to hasło towarzystwa teozoficznego: nie ma religii wyższej nad prawdę.

Kongres zakończyła mowa p. Anny Bezant: „Nasze zebranie“! mówiła przewodnicząca, „to zwiastun promiennej przyszłości. Dziś nas zaledwie kilkuset, ale z każdym rokiem nas więcej i więcej. Sam fakt, żeśmy się zebrali tu z różnych stron świata — to fakt znamienny. Nasza missya to pókój i miłość. Wracając do siebie nieście nowinę radosną o tem coście słyszeli i widzieli. Bądźcie źródłami światła i miłości. Gdy usłyszecie o sporach i gniewie spieszcie tam z pochodnią ciszy. Widząc waszą czystość, miłość i siłę ludzie uwierzą w waszą misyę i zaczną się przysłuchiwać do waszych słów“.

Następny kongres teozoficzny odbędzie się w lipcu r. 1905 w Londynie (Nowyj Put’).

OCENY.

Marya Colonna Walewska. *) (Hrabina Wielopolska). „S ę p“, dramat w 3 aktach. Brody. Nakład Feliksa Westa. Warszawa — E. Wende i Spółka 1904.

(bb). Nad pogodzeniem się Jerzego i Maggie, którzy po krótkiem pożyciu rozeszli się i od lat już dwunastu nie żyją z sobą, pracuje gorliwie siostra Jerzego Zofia. W końcu udaje się jej nakłonić Maggie do zgody. Przyjeżdża do „Willi róż“, gdzie na nią czeka mąż w otoczeniu familii, wuja Michała Raesa, sióstr Zofii i Niny i kuzyna Ludwika Podladowskiego. Następuje pozorna zgoda; w gruncie rzeczy zbliżają się do siebie popioły jeno serc zmaltretowanych i wypalonych — przez życie. Nie łudzą się też obydwoje i nie oczekują od przyszłości niczego, bo nawet jedyne ich dziecię, trzynastoletnia Ania, chora na serce i każdej chwili może zgasnąć.

Oto suchy szkielet dramatu. Piszę: „dramatu“, zapożyczając ten termin od autorki; — w rzeczywistości utwór, ładny zresztą, dramatem nie jest. Nie zdawała sobie autorka sprawy, czem jest dramat, czem musi być utwór, aby się stać dramatem. Słowa padające, choćby z bardzo wymownych ust, nie stworzą działania, które jest ciałem, ani konfliktu, który jest duszą dramatu. Jerzy i Maggie — to materyał były; zmiażdżony, a raczej do ostatniej drobiny wytrawiony, niezdolny dać pokarmu żadnej skrze życia. A gdzie nie ma życia, tam nie może być ruchu, ani walki, ani jej rezultatu: zwycięstwa lub katastrofy.

Każe autorka występować swym kreacyom po katastrofie, która ich zniszczyła i starła na popiół. I uprzedza autorka pokolenia (N i n a: „Za parę pokoleń będzie tylko proch...), przesypując przed naszemi oczyma ów proch właśnie i każąc mu wykonywać na scenie jakieś galwaniczne pośmiertne ruchy. Gdzież tu d r a m a t? Ludzie tacy, jak Jerzy i Maggie, mogą być zajmujący, tak jak budzą w nas interes szczątki dawnych, wymarłych tworów, dobywane z geologicznych pokładów skorupy ziemskiej, ale interes to filozoficzno-paleontologiczny raczej, niż artystyczny, a już zgoła nie dramatyczny. Poza tem dwoistość akcyi. Ludwik i Nina — to druga para, budząca może większy interes, niż bohaterowie dramatu. Pomiędzy tymi ludźmi istnieje przynajmniej pozór walki. Z jednej strony czerwone płomienie miłości, z drugiej żółte połyski złota — po której stronie zwycięstwo? Domyślamy się zanadto łatwo. A Ludwik i Nina, to dyspozycya do epilogu, jaki tworzą Jerzy

*) Redakcya nie zgadzając się w części z oceną „Sępa“ p. (bb) zastrzega sobie jeszcze głos w tej kwestyi.

i Maggie. Czujemy prawie pewność: gdyby tamci ludzie stali się stadłem, w krótkim czasie byłby z nich taki sam proch... Nina w swej, już nie moralnej, ale czysto ludzkiej nicości graniczy o włos z anomalią.

Jakże dziwnie brzmią w ustach tej istoty, nie zakochanej, ale zaślepionej w koronkach, brylantach i złocie, głębokie słowa, wyrzeczone do wuja: „Wuj nie chce zrozumieć, że życie toczy się, a im się bardziej stacza się z pochyłości wieków, tem bardziej miażdży duszę ludzką przez prostą siłę rozpędową. Za parę pokoleń będzie tylko proch... To była straszna groźba, rzucona człowiekowi: „I w proch się obrócisz!" W tych samych ustach, które niedługo potem krzyczą: „Ja muszę mieć dużo złota — kąpać się w złocie!!!" Zasłania się Nina jakiemś potwornem przeznaczeniem", za którem iść musi — jestto nadużywanie przeznaczenia do celów niskich i marnych. Przeznaczenie z worem złota na plecach?! — Rzecz dotąd niesłyszana...

Wszystkim ludziom w „dramacie" pani Walewskiej wyjada sęp „nie serca, lecz mózgi" — i to jaki sęp? Sęp nudy i głuchego bezczynu. Zupełna bierność i jałowość ducha wyklucza już z góry wszelką walkę i opór — to nie dramat, ale konanie pewnego odłamu pokolenia zatrutego dziedzicznym brakiem woli. Bo i stary Michał Raes, pomimo deklamacyi i na temat: „za moich czasów było inaczej", pomimo narzekań na współczesną newrozę, jest także człowiekiem rozbitym. Na pamiątkę róży, rzuconej mu niegdyś jako odszkodowanie przez ukochaną daremnie kobietę, sadzi i szczepi róże, i dochował się już, jak zapewnia z dziecinną radością, przeszło 3000 odmian. To także człowiek, którego bolesny szmer cierpienia z hukiem piorunu rozbił w gruz.

Zaletą utworu są gładkie, miejscami świetne dyalogi, grzeszące jednak niekiedy zbytnią rozwlekłością. Do rzędu bardzo zręcznych, ale już nie oryginalnych *coups de théâtre* trzeba zaliczyć wejście na scenę śmiertelnie na serce chorej, białej Ani — przed samem spuszczeniem kurtyny.

Wpływy: Ibsen („Upiory") i Maeterlink („Ślepce").

(wb) **Jerzy Żuławski.** Eros i Psyche. (Wyd. H. Altenberg. — Lwów 1904 r.).

Spiritus movens, dramatu tęsknota znana nam jest skądindziej. Najpierw Dehmela „*Sehnsucht ohne Ziel*" i Przybyszewskiego „Tęsknota dla tęsknoty", wiodąca wnurty wody po szczęcie. Taka sama gorączka wiedzie i Psychę, i to przez VII faz z różnem powodzeniem.

Druga „*force majeur*" dramatu, ewolucya Ducha niejednokrotnie była już też przedmiotem opracowań literackich.

Kusił się oto Madacz w „Tragedyi człowieka“, dokonał Świętochowski w „Duchach“.

Niewątpliwie „siedm rozdziałów powieści“ p. Żuławskiego stoją wyżej pod względem artystycznym od pierwowzorów, jak również nie ulega wątpliwości, że p. Żuławski „Tragedyę człowieka“ i „Duchy“ zna i, że pod ich urokiem zakuł „ku jutru zrywającą się Duszę, wiecznie tęskniącą arkadyjską królewnę“ w nową formę.

Legenda o Psyche należy do tak zwanych „Legend poetycznych“, a baśń o miłości jej i dziejach jak mówi H. Blaze de Buzy“ jest jednem z tych tajemniczych tchnień umysłu ludzkiego, które błądzą w przestworach wiekuistych bez końca, zdane na wolę kapryśnych zefirów, ubarwione, roztęczone blaskiem wszystkich jutrzenek...

W micie greckim wygląda jednak podanie o Erosie i Psyche ze zmianami tak samo. Tęskniąca ku ideałowi bóstwa Psyche znajduje wreszcie wymarzoną postać młodzieńca, który wiedzie ją w zaczarowany zamek. Kochanka swego nie zna Psyche, a za namową sióstr pragnie go choć raz jedyny zobaczyć. Gdy upojony rozkoszą Eros zległ na łożu, podchodzi ku niemu Psyche z lampą oliwną w ręku. Zobaczyła świętą twarz boga, lecz ciekawość musiała odpokutować. Zamek znika, kochanek odlatuje, a Psyche błąkać się musi wiecznie. Po latach pokuty, gdy odurzona kłębami dymu wydowywającymi się z puszki, której nie wolno jej było otwierać, pada na ziemię zemdlona, zjawia się Eros — pocałunkiem budzi kochankę i zawiera z nią na Olimpie nierozerwalny związek.

Podanie o Psyche w opracowaniu literackim zjawia się po raz pierwszy u Apulejusza, lecz i łaciński poeta nie trzymał się ściśle tradycyą przekazanej legendy, owszem w powieść swą p. t. „Złoty osioł“ wprowadził własną fantazyę. Molière i Corneille, pominąwszy cały zastęp poetów, opiewających w wierszach lirycznych dzieje Psychy, napisali w drugiej połowie XVII wieku komiczny balet na uroczystość tuleryjską, zaczepnąwszy treści z podania o Psyche.

Poza nie nową legendową szatą wprowadził Żuławski szereg scen i obrazów tchnących świeżością o silnej ekspresyi i dramatyczności. Najpiękniejsze obrazy to: „Pod krzyżem“, „na przełomie“, Przez krew“. Najsłabszy obraz; „W Arkadyi“. Scena np. na łące pana Żuławskiego najzupełniej, w szczegółach nawet jest identyczna z sceną w Odyssei, gdy piorącym bieliznę dziewczętom zjawia się nagi Odyseusz.

Psyche w otoczeniu służebnic swoich, jest stanowczo homerową Nauzyką.

Niewiadomo dlaczego ten homerycki nastrój wprowadził p. Żuławski... czy chciał w ten sposób oznaczyć czytelnikowi epokę bohaterską?

Nie nowym jest efekt w 6-tej części, razi nawet, brakiem nowości. Jest to, ta chwila, gdy Psyche pada „rękami i czołem“ na klawisze

pianina. Po co go było wprowadzać i przywodzić na myśl Wyspiańskiego?

Po zatem jest liryzm serdeczny, jest głębia myśli, jest to wszystko co, może postawić „Eros i Psyche“ w rzędzie nie najznakomitszych, ale niepoślednich dzieł, dla teatru zaś stanowić będzie, dzięki swoim efektom miłą atrakcyę.

Michaud d'Humiac twierdzi, że podanie o Erosie i Psyche wyobraża jeden z najrozleglejszych symboli, symbol duszy naszej, przeznaczonej, jak piękna królewna, na boskie zaślubiny z ideałem, do którego zmierzają. Blizka osiągnięcia czuje czasami tajemniczego kochanka, tuż przy sobie; niewidzialny — odurza ją mistycznem swem tchnieniem i znika.

Na to twierdzenie odpowiedział pan Żuławski w zupełności.

Przegląd prasy.

„Dzwonek Częstochowski“ — pismo miesięczne illustrowane pod redakcyą ks. Józefa Adamczyka.

Cześć dla Bogarodzicy jest zaiste wielce charakterystyczna dla Polski. Prof. Aleksander Brückner stwierdza niesłychanie szybkie rozpowszechnienie czci Maryi u nas. Dogmat Niepokalanego Poczęcia np. miał u nas zawsze najgorliwszych wyznawców. Na ich czele stoi ks. Jan z Szamotuł, Paterkiem zwany. A ksiądz Paterek to nielada uczony; w r. 1505 był magistrem w Akademii krakowskiej poczem został kaznodzieją królewskim. Prócz Paterka do czcicieli Maryi w XVI w. należy ks. Opeć autor „Żywota Chrystusa Pana“ i „Żywota Najśw. Maryi Panny“. Prócz artykułu „Czciciele Maryi“ spotykamy szereg artykułów świadczących, że zadaniem pisma jest nieść słowa pociechy, ukojenia i dobrej rady pod strzechy. Szkoda, że „Dzwonek“ mało się posiłkuje terminologiją „najwyższej świadomości“ i nie dąży do pewnej modernizacyi swego języka i stylu — pod tym względem wyprzedziła poniekąd nasze pisma religijne, prasa religijno-filozoficzna w Rossyi dążąca z całą świadomością do odnowienia języka religijnego.

„Nowyj Put'“ — miesięcznik, rok drugi. — Jedyne pismo świeckie w Rosyi, poświęcone świadomości religijnej. Tendencyą pisma — możliwa bezstronność; roli jednak przewodniej pismo się nie wyrzeka i poczuwa się do obowiązku walczenia z tem, co uważa za fałsz szkodliwy i niebezpieczny.

Dążenie do bezstronności możliwej nawet zraża niektórych do pisma.

N. p. w zeszycie lipcowym p. L. F. zarzuca redakcyi, że pomieściła dwa prawie całkiem sprzeczne poglądy: pp. Wernera i Rozanowa. P. Werner dowodził, że Kościół zachodni był zawsze Kościołem „z tego świata“, głęboko zatrutym antyreligijnym i antyfilozoficznym duchem Rzymu starożytnego. Tylko wschodni Kościół stał na straży słów Zbawiciela: „Królestwo moje nie z tego świata“. Kościół wschodni w osobie swych lepszych przedstawicieli (przypominamy o egipskich i syryjskich działaczach) miał zawsze na celu te wyższe zadania chrześcianizmu — kontemplacyą Boga i łączenie się z Bogiem. I gdy Kościół zachodni wcielił w sobie ideał Marty wraz z jej pieczołowitością o dobrach ziemskich, wtedy Kościół wschodni, od początku wybrał tę lepszą cząstkę: Maryi.

Z tymi poglądami nie zgadza się p. Rozanów — i w artykule: „Śród oszukanych oszukujących się“ daje obraz stosunków między kościołem a społeczeństwem, do których przywiedli asceci syryjscy. — „Kontemplacyjny kościół ma inne dziś zadanie — tam — de propaganda fide — tam w Japonii, w Chinach — a przy tem walka z Wolterem i ze Strausem“.

Tak, pisząc p. Rozanów godzi się również na allegoryę Maryi i Marty — wyrażając przy tem myśl, że właściwie dopiero połączenie Maryi z Martą da całą pełnię życia kościelnego.

„*Nowyj Put'*“ wychodzi w Petersburgu pod redakcyą p. D. Filozofowa. Adres Redakcyi: Sapiernyj 10.

Książki nadesłane Redakcyi.

Artur Schnitzler: *Lalki* studyum w I. akcie. Brody. Nakład F. Westa. — Warszawa. E. Wende i Sp.

Piotr Chmielowski: *Jan Kasprowicz*. Brody. Nakład F. Westa.— Warszawa. E. Wende i Sp.

Józef Maciejowski: *Opowiadania*. Kraków. G. Gebethner i Sp.

Andrzej Gide: *Prometeusz źle spętany*. Lwów. Nakład H. Altenberga.

K. Bagrynowski: *Ucieczka*. Monachium. Nakład Dr. J. Marchlewskiego i Sp.

Józef Mirski: *Tajemnice*. Lwów. Księgarnia Polska.

L. Andrejew: *Milczenie*. Lwów. Nakład H. Altenberga.

Marya Colonna Walewska: *Sęp* dramat w III. aktach. Brody. Nakład F. Westa. — Warszawa. E. Wende i Sp.

Kazimierz Sichulski: *XXX. Karykatur*. Kraków. Nakład drukarni Teodorczuka i Sp.

Górski K. M.: *Wierszem* (*1883—1893*). Warszawa. Nakład G. Gebethnera i Sp.

Adam Stodor: *Atlantyda. — Z cichych tragedyi*. Lwów. Księgarnia Polska.

Maryan Witaliński: *Siostry*. Sztuka w czterech aktach. Nakładem Z. Szreder.

Naczelny redaktor: **Jan Wadimas Bełcikowski.**
Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Karol Kucharski.**
Z DRUKARNI W. KORNECKIEGO W KRAKOWIE.

Cena numeru 60 hal.
W Rosyi 30 kop.
W Niemczech 50 pf.
We Francyi 60 centim.

☞ Sekcya wydawnicza przy Redakcyi ułatwia PP. Autorom wydawanie ich prac po niezwykle zniżonej cenie.

Lijärska